Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Borsuk przed trybunałem myśliwych.

Napisał

Antoni Ignacy Tomaszewski.

Z apetytem, że się tak wyrażę, przeczytałem cenny pod wielu względami artytuł p. J. H. (w nr. 9 „Łowca“ z Września r. z.) pod tytułem: „Polowanie z jamnikami na borsuki i lisy“, wszakże, ponieważ w opowieści tej znalazłem przekonania, z jakiemi niepodobna mi bezwzględnie sympatyzować, postanowiłem sprawę borsuka poruszyć, i uważałbym się za bardzo szczęśliwego, gdyby więcej szczegółów obserwowanych z życia — tego, jak szanowny autor nazywa „faryzeusza udającego pustelnika“ — mogły stanowczo, bezstronnie i bez uprzedzeń wpłynąć na rozjaśnienie kwestyi jego szkodliwości lub pożyteczności.

Musimy przedewszystkiem przyznać, iż natura, mimo niedyskretnego zdarcia z niej wielu osłon, nie jest nam znaną na tyle, żebyśmy mogli w inkryminowanej kwestyi referować nieodwołalne wyroki.

Człowiek czy ma, czy nie ma prawa, może sobie ponarzucać pewne zasady postępowania, lub sądzenia rzeczy tak, aby jemu było najwygodniej i aby mogło mu się wydawać, że stosownie do swoich pojęć, jest najsprawiedliwszy; biednemu borsukowi myśleć o tem nie wolno. Opuściwszy przed wieki potężne łono natury, tuła się dziś i kryje po jamach, ogranicza nawet dzienne wycieczki, znaczną część życia przesypia bezczynny, unosząc tylko na swych barkach troskę o byt, ów instynkt zachowawczy, jaki pozwoliły mu oprzeć się wszelakiej teoryi „*Ausrotten*“.

Sądzę, że szanowny autor zgodzi się ze mną, iż inne mogą być oczy naturalisty, psychologa, a inne zapalonego myśliwca; i dziś, gdy łowiectwo szlachetne staje się dalszym ciągiem gospodarstwa ludzkiego, dostarczając nam, prócz rozlicznych ekonomicznych pożytków, nieco przyjemnej acz barbarzyńskiej emocyi — abyśmy pamiętali, że życie — to walka, walka — to ruch, a ruch — to życie — musimy pozbyć się lekkomyślnych uniesień i uprzedzonych sądów, ażeby, torując drogę sprawiedliwym korzyściom, jakich owoce mamy prawo spożywać za trudy, ustrzedz się nieoględnie wyrządzanych sobie szkód, poniewieraniem tego, co nam choćby uboczne pożytki dać mogło.

Przy dzisiejszem poznaniu natury, stanie nauki, ścisłości i powadze obserwacyj, nie możemy dawać pierwszeństwa osławionym fantazyom myśliwskim, bo byśmy wyrządzali krzywdę społeczeństwu bałamuceniem opinii, jaką dla niego sumienna praca powinna wyrobić.

Można przecież na te ciężkie czasy odetchnąć niekiedy lżejszą atmosferą dowcipnej i pełnej humoru pogadanki my-

śliwskiej; lecz jeśli pogadanka ta, z pewną powagą usiłuje nadać osobistym uprzedzeniom jakieś cechy postulatu, nietylko mija się z przeznaczeniem, rodząc niesmak, ale przynosi uszczerbek bezstronnemu dochodzeniu prawdy.

Ustawy łowieckie, nie można powiedzieć, aby wyrzekły już ostatnie słowo w swych poglądach lub motywach. Ich doskonałość zawisła od rozlicznych potrzeb, pożytków i danych, ze ścisłych obserwacyj czerpanych. Znany jest wypadek tępienia wróbli w Prusach, a następnie sprowadzanych drogo na miejsce usuniętych. Nie naśladujmy przeto Prusaków, którzy od czasu do czasu mają napady tępienia, aby potem przywłaszczać sobie choć nasze wady, n. p. mądrość po szkodzie, i nie rzucajmy kamieniem na mało znanego nam borsuka, dla tego tylko, że niekiedy jako niższy kolega myśliwy, niemający dokładnego pojęcia o cudzej własności, gwoli zadosyćuczynieniu potrzebom żołądka, pozwala sobie urządzać polowania na własną rękę i na terytoryum niekoniecznie swojego władcy. Zgadzam się na to, aby został opodatkowany, kiedy niekiedy zapłacił skórą i sadłem, na rzecz państwa jakiego został poddanym; od obowiązków przyjętych w państwie nie może być wolnym, bo takie fawory mogłyby nadwerężyć ogólną harmonię, ale żeby miał być bez pardonu skazany na zagładę, jako zbyteczny w ogólnych usługach przyrody, nie zgadzam się bezwarunkowo.

Ponieważ szanowny autor narzeka, iż borsuk „cieszy się potężnym zastępem obrońców“, nie będę czytelnika odsyłał do pomnikowego dzieła Bremha, gdyż to byłoby zbytecznem, jakkolwiek ten „potężny zastęp“ śmiało może zastąpić *vox populi*... Tymczasem jednak, na przytoczony przez szanownego autora opis charakteru borsuka i jego zachowania się w domu, opowiem historyjkę drugiego borsuka, jakiego ja miałem w swoim domu.

Mieszkałem wtedy w gubernii i powiecie Grodzieńskim, w leśnictwie Cieciorowskiem pełniąc obowiązki nadleśnego. W jednej części lasu, w położeniu górzystem, prowadził się ręczny wyrób drzewa. Było to przy końcu marca 1879. r. Ludzie, zajęci piłówką, zauważyli na śniegu posuwającą się brudną żółtawą plamę; kilku z nich rzuciło się w tym kierunku i zbliżywszy się, poznali pełzającego borsuka; powstał krzyk, hałas, gonitwa, — znalazły się pod ręką kije, przy pomocy których, oraz narzuconego kożucha, zabrali do niewoli jaźwca, a znając moje upodobania przynieśli mi go w tryumfie do domu.

Chcąc, ażeby ów borsuk wyspowiadał się szczerze ze swego sposobu myślenia, nie marzyłem bynajmniej o jakimkolwiek przyswajaniu go lub obserwowaniu w odrębnym budynku, ale postanowiłem razem z nim zamięszkać. Lokal miałem obszerny, pokoje duże, broni różnej podostatkiem i pod ręką, na przytomności mi nie zbywało, nie potrzebowałem liczyć się z obawą jakiego wybryku dzikiego gościa; w każdym bowiem razie, nie ja na jego, ale on na mojej był łasce.

Gdy ludzie wnieśli borsuka, rozkazałem wysypać go z kożucha na kanapę, na której przycupnął w rogu, skręcony w kłębek, połyskując drobnym ślepkiem.

Po godzinie niezmienionego pobytu, zacząłem się zbliżać do niego i w łagodnych wyrazach przemawiać po nazwisku: „jaziu!“ Mało mnie to obchodziło, że mógł mnie nie rozumieć; postanowiłem nauczyć prostaka i kazałem mu słuchać jego nazwiska. Patrzał na mnie przenikliwie, w czem wcale mu nie ustępowałem, ale zachęcony jego istotnie pokorną miną i dotychczasowym spokojem, zawsze przygotowany na wszelką ewetualność, wyciągnąłem lewą dłoń ponad jego ciało, i z razu w powietrzu wyżej, później coraz niżej, nareszcie wprost po sierci głaskałem.

Może go shypnotyzowałem, nie wiem; wtedy nie miałem pojęcia o tych sztukach, wiem tylko, że manipulacje te wcale go nie uśpiły; ośmielony jednak dalej trwającą jego potulnością, pozwoliłem sobie nawet mocniej naciskać ręką jego ciało, doświadczając tylko niemiłego wrażenia od rzadkiej i grubej jego szczecinowatej sierci. Zaczął podnosić głowę i westchnął. Drgnąłem, ale nie dałem mu poznać tego po sobie, i wciąż nawołując: „jaziu!“, głaskałem. Posunąłem się nawet tak dalece, iż gładziłem mu głowę, boki głowy, i przyszło do tego, że użyłem drugiej ręki, aby zmienić jego pozycyę, jaka w mojem pojęciu wydawała się przykrą. Nie chciał z tej usługi korzystać i poprawił się po swojemu, ale z ócz jego mogłem wyczytać, że nie jest dla mnie źle usposobionym.

Zostawiłem go w spokoju, to chodząc po izbie różnymi krokami, to bawiąc się z psami, które z początku przyjęły go złorzecząc, lecz wnet zaprzestały łajań, z wyjątkiem małej suczki; chciałem dać im poznać, że pragnąłbym, aby go do swego towarzystwa przyjęły, ale nie mogłem na nich wymódz żadnych pewnych obietnic; stanowczo więc psy, aby wpływem swoim nie nękały borsuka, wyprawiłem ze stancyi, zabraniając wstępu do czasu.

Powróciłem znów do mego „jazia“, uparcie skulonego na kanapie i bez ceremonii pogłaskałem. Przyjął to dobrze; usiadłem obok, zgodził się i na to, a gdy, znów po upływie godziny, żona moja weszła do pokoju, borsuk leżał już u mnie na kolanach, morda jego na mojej lewej dłoni, a prawą głaskałem do przesytu, bez ceremonii.

Jak się to stało, kiedy nastąpiło między nami i w jaki sposób porozumienie, że mogłem odważyć się na coś podobnego — przytoczyć tego nie potrafię, wiem tylko, że się to stało.

- Anteczku! co ty wyrabiasz? wszak to dzika bestya! może cię skaleczyć...

— Zgadzam się na to, tylko przeciw jego dzikości będę oponował — i dodałem żartobliwie — namawiam go do służby, robi mi obietnicę, że będzie tobie służył bez blagi i daleko wierniej niż Finka.

— Dziękuję, możesz go zabrać do swoich szeregów, ja takich brzydalów na służbę nie biorę... wcale mi się nie podoba...

— Nie uprzedzaj się tylko i patrz, jaki istotnie łagodny, jakie ma błyszczące ślepki, a że tam odzież trochę wyszarzana, to z nędzy zimowej. Zobaczysz, jakim srebrem pokryje się w jesieni, tymczasem popatrz, jakie ma ładne ząbki.

Mówiąc to, odchyliłem mu nieco wargi, na co pozwolił, i ujrzałem z pewnym dreszczem bliziuchne sąsiedztwo wspaniałych, nadzwyczaj silnych i ostrych białych zębów, wśród których lewy kieł był przyłamany. Zapewne ów kieł nie przyłamał się na korzonkach, owocach leśnych, lub żukach, to prawda, ale może w walce, a może gryzie kamienie, któż wie, nie znamy się jeszcze, boć i kosteczki upolowanej zwierzyny nie powinny być tak twarde, żeby borsukowi kieł łamać. Mam nadzieję, iż później, gdy się bliżej poznamy, opowie nam historję swojego kła przyłamanego, tymczasem zsunąłem borsuka z kolan na ziemię i sam podniosłem się z kanapki.

Borsuk stał jakąś chwilę na środku pokoju, następnie sunął do pieca i rozpoczął spacer wzdłuż ścian, dotykając wysuniętym swym nosem wszystkich przedmiotów, jakby je

obwąchiwał. Po kilkakrotnem obiegnięciu pokoju, ulokował się pod stolikiem w kącie izby, i znów skręcił w kłębek.

W czasie swojej przechadzki, zostawił parę kupek kału. Podbiegłem zobaczyć; była to cuchnąca, ciemno-brunatna smoła, w jakiej dostrzegałem niestrawione igły z choiny. Jakkolwiek wytłumaczyłem sobie, że te igiełki mogły się dostać do żołądka przy pożeraniu pokarmu, a może stanowią korzenno-aromatyczną dlań przyprawę, postanowiłem korzystać z myśli i urządzić mu ocienioną jamę. Kazałem przynieść choiny i zbudowałem coś na kształt nory pod stolikiem; napędzony, korzystał z niej o tyle, że przesiedział parę godzin, pod wieczór wszakże wyszedł i zaczął podróżować jak poprzednio. Talerz z mlekiem, spotkany na drodze, bardzo mu przypadł do smaku; wypił, ale poprzednio trącił naczynie dość silnie nosem; po mleku napotkał chleb, jakiś czas obracał go w łapach (u których kilka pazurów było mocno zdezelowanych) i zaczął pożerać tajemniczo, jakby pod szczęką, z głośnem mlaskaniem; przed zaimprowizowaną jamą swoją znalazł kawałek niesolonej słoniny — zjadł; powracał jeszcze parę razy do pustego talerza, suwał go, popychał, przełaził przez niego, wreszcie poszedł do... jamy.

Nadszedł wieczór, zapalono lampy i świece, dano kolacyę, niebawem wyszedł z nory i jaźwiec i znów rozpoczął peregrynacyę; przechodził pod stołem, przy którym siedzieliśmy, płosząc za każdym razem żonę moją, po nogach zaś moich przechodził niby po korzeniach drzew, i pod łóżkami wyrabiał jakieś awantury.

Noc była księżycowa. Prawie całą nie spałem, czuwając nad borsukiem, który uporczywie chodził tu i owdzie i przewracał drobne przedmioty; osobliwe zaś nabożeństwo miał do moich butów, do których najczęściej wracał i popychał je po podłodze. Byłem najpewniejszy, iż do rana z butów palonych, długocholewych, porobi kamasze lub pantofle — tymczasem do kunsztu szewskiego nie miał właściwych predylekcyj, zostawił całe, dobrze podrapane pazurami, ale każdy w innej stronie izby. Wszakże, aby nie rodziło się podejrzenie, że je aportował, muszę dodać, iż częściowo, ilekroć zbliżył się do nich, posuwał przed sobą, a czynność tę wykonywał mimo woli, wtedy, gdy stanowiły przeszkodę przy podnoszeniu łapy w chwili przełażenia zawady.

Przez następny dzień, był mój jaźwiec jak u siebie: jadł wszystko, co mu tylko podano, bez wyboru, a obserwując jego upodobania, doszedłem do wiadomości, iż z potraw, jakich mogła mu dostarczyć moja kuchnia, najwięcej polubił kaszę jęczmienną sypką, ze słoniną! *Risum teneatis*... a jednak tak!

Po paru tygodniach, był na tyle spoufalony, iż na brzęk talerzy zjawiał się natychmiast pod stolikiem, wspinał się na moje kolana i nosem kierował w stronę zastawionego stołu; musiałem go częstować, brał pokarmy z ręki. Z początku przestraszał mnie, gdyż biorąc cokolwiek, uderzał naprzód nosem, wydając rodzaj syku; porywał pokarm, opuszczał się na ziemię, zaraz zjadał i znów *da capo*, aż do skończenia obiadu. Psy wpuszczone w tym czasie, mimo szczerej chęci zrewidowania terenu okruchów, nie miały odwagi podejść do stołu, lecz ze środka stancyi zaczęły naszczekiwać; na borsuka to wszakże najmniejszego nie wywierało wrażenia.

Żarłok był przyzwoity, jakkolwiek z różnych względów ograniczałem mu porcye.

Wieść o tym borsuku rozeszła się dość szeroko, i razu pewnego miałem wielce przyjemny zjazd gości, pod pretekstem obejrzenia borsuka. Borsuk wywiązał się godnie ze swej osławionej opinii. Miałem kilkanaście osób; wszyscy przy stole siedząc piliśmy czekoladę, a mój borsuk włóczył się pomiędzy nóżkami pań i nogami panów, niby żebrak, zbierając to okruszyny, to datki; na zakończenie przedstawienia wypił pół filiżanki podanej mu przez jednego z gości czekolady.

Borsuk ten sypiał... ze mną, a najprzyjemniejszem — rozumie się tylko dla niego — było sadowienie się na moich nogach (ważył 30 funtów). Do łóżka mojego miał wolny przystęp, i w nocy kilkakrotnie właził i złaził. Żony mojej łóżka broniła zajadle suczka charciczka, która, jakkolwiek pogodziła się później z borsukiem, do łóżka jednak nie dała mu nigdy się zbliżyć i bezustannem naszczekiwaniem zmuszała do rejterady.

Gdy wracałem do domu, na głos mój „jaziu!“ wybiegał z kąta (później każdy dla niego był dobry) i szedł do mnie jak pies, nie umiejąc tylko podnieść głowy, chociaż z wielką łatwością nachylał ją ku przodowi, tak, że nosem mostka dotykał. Zwykle musiałem się doń nachylać, i żeby mieć racyę powoływania, zawsze przynosiłem jaki łakotek leśny, najczęściej żołądź. Żołędzie, które pasyami lubił, wybierał mi z ręki, a gdy dłoń zamknąłem, starał się takową otworzyć pazurami.

Razu jednego przyjechał do mnie sąsiad, który jeszcze borsuka tego nie oglądał; a gdy na opowiadanie, jak żołądź z ręki wyjada, okazał niedowierzanie, nachyliłem się na środku pokoju i zawołałem: „jaziu!“, borsuk przybiegł, lecz ja miałem tylko dłoń pustą, zamkniętą; zaczął roztwierać pazurami — naturalnie otwieram, lecz nie znalazłszy nic, uciął mnie w palec obrączkowy tak, jakby nożem, przecinając brzusiec do końca. Trochę się zażenowałem, ale nie mogłem mieć pretensyi do borsuka.

Po paru miesiącach wychodził na podwórko, i wracał do tej samej stancyi. Wypasł się znakomicie na pokarmach kuchni ludzkiej, apetyt zawsze miał dobry, trawił jak pies, żywość jego wzrosła, był ruchliwym i swywolnym. Bawił się sam z sobą, a choć chciał z psami zawrzeć jakiś bliższy stosunek, te stanowczo odmawiały przymierza, uciekając ze szczekaniem. Bawiąc się, wyprawiał pocieszne koziołki i najwięcej pozostawał na grzbiecie; w końcu, ze środka stancyi przeniósł swoje sztuki pod łóżka, kładł się na wznak, opierał silnie tylnemi nogami o materace a przedniemi darł, wyrzucając zawartość i obrzucając się pilśnią. Zanim dostrzeżono te figle, porobił znaczne szkody. W tym czasie wypadło mi wyjechać na dłużej. Byłem nieobecny przez miesiąc. Żona moja, jakkolwiek z przyjemnością pomagała mi zawsze w różnych tego rodzaju obserwacyach, i z bezprzykładną cierpliwością znosiła, często niekoniecznie przyjemne wypadki, to jednak, nie mając zaufania do borsuka, który zanadto ją po nocach niepokoił, zaraz po moim wyjeździe, przeflancowała borsuka do osobnego pokoju, wychodzącego na ogród.

Zbliżała się zima; drzwi od ogrodu opatrzono w słomiankę i obito matą z rogoży. Borsuk upatrzył sobie tam kryjówkę; rozpruł rogoże na dole i usadowił się w słomie, robiąc legowisko. Sypiał, jadł i żył spokojnie. Po moim powrocie, na głos mój zaczął się niepokoić, wpuszczono go napowrót do mego gabinetu; nie okazywał wprawdzie psiej radości i powitania, ale po dawnemu zwiedzał kąty, i najdłużej zatrzymywał się pod stolikiem, przy którym siedziałem. Nie miałem wtedy wolnego czasu i potrzebowałem spokoju, uznawszy więc nowe jego *locum* za wygodne i otrzymawszy zapewnienie, że sypia w przedpokoju wybornie, nie chciałem zmieniać zaprowadzonego porządku, i po kolacyi,

nakarmionego i nagłaskanego borsuka, odprowadziłem do jego kwatery; ale borsuk przyjął to jakoś niedobrze, i po zamknięciu drzwi zaczął okazywać niezadowolenie. Całą noc niezwykle stukał, hałasował, nareszcie jednej nocy przebudzeni zostaliśmy niby wystrzałem armatnim; zerwałem się z łóżka, chwilę nadsłuchuję, nie ma nic; jednak za wyraźnie zbudzony mniemanym grzmotem, sądziłem, że albo dobierają się złodzieje, albo borsuk co zrzucił. Zapalam światło i z rewolwerem w ręku wpadam naprzód do pokoju borsuka. Cóż widzę? — mata rozdarta niemal od sufitu do połowy, a na ziemi leży borsuk na grzbiecie.

Ponieważ lubił się wspinać, osobliwie gdzie tylko mógł pazury zaczepić — pewnie doszedł do góry, natrafił na słabiznę maty, i przy pomocy pazurów, oraz znacznego ciężaru własnego ciała, sprowadził katastrofę.

Przywiódłem go do porządku, ulokowałem w legowisku i do rana było cicho; nazajutrz jednak nie pokazał się wcale, apetyt stracił, a po pięciu dniach zaczął jęczeć, cały zsiniał i w tym stanie, niechcąc patrzeć na jego męczarnie, kulą w serce skróciłem straszne cierpienia. Sekcya wykazała skrzepy krwi w jamie brzusznej, oraz silne przekrwienie w kolumnie kręgowej.

Żałowałem go szczerze, ale muszę poświadczyć, że mój borsuk nie miał nic wspólnego z charakterem borsuka pana J. H. Borsuka tego miałem od wiosny do jesieni. Przez cały przeciąg czasu niczem nagannem się nie odznaczył. Pokarmy przyjmował wszelkie, i ani razu nie umiałem zauważyć, żeby mięso przekładał nad jakąbądź inną strawę; przeciwnie, jak to już nadmieniłem, kaszy jęczmiennej, okraszonej słoniną, dawał pierwszeństwo. Robactwo każde i w każdej porze było dlań pożądane. Myszy schwytane i puszczane na sznurku tak, aby nie miał zbytnich trudności, łapał i pożerał, jak również myszy i szczury zaduszone, lub mięso cuchnące.

Pan Tymoteusz Kanigowski z Mdzewka, sąsiad, myśliwy i zamiłowany naturalista, opowiadał mi, iż zdarzyło mu się zaobserwować, jak borsuk odwiedzał padlinę końską i szarpał mięso na niej. Było to w marcu i na śniegu. Pan Kanigowski także miał u siebie młodego borsuka, który z porzuconych sobie różnych pokarmów, między jakimi były jagody i jajko, zjadł wszystko w pierwszym dniu, a do jajka, które tylko taczał i popychał, zabrał się dopiero 3go dnia. Borsuk ten wkrótce dostał się na okno, zbił szybę i uciekł, a odzyskawszy w ten sposób wolność, nie dozwolił czynić więcej obserwacyj.

Borsuk mój, gdy zaszedł do kuchni, bardzo pracowicie i dość zwinnie uganiał się za karaluchami, po które umiał się wspinać na ścianę, każdego przytrzymywał łapą, zsuwał go po ścianie na ziemię i zajadał.

Prócz mnie, owego pamiętnego dnia, w którym oszukałem go, dając mu pustą dłoń zamiast z żołędzią, do czego poprzednio był przyzwyczajony, nikogo a nikogo nie skaleczył; z psami usiłował zaprowadzić jakieś stosunki, przypuszczam, że chciał sobie zwerbować towarzysza do zabaw, ale psy stanowczo nie miały doń przekonania. Rozumie się, nie mogłem dopuścić, aby psy moje (wyżeł, dwa ogary i chart) miały próbować swoich zębów na borsuku, którego zapragnąłem studjować, i czuwałem dlatego nad jego bezpieczeństwem. Dosyć mnie było zauważyć, że psy względem borsuka zachowywały się nieprzyjaźnie, i sam jego widok zmuszał je do szczekania i niepokoju.

W przedpokoju, do którego często wychodził, nadpsutą przez grzyb podłogę oderwał i wykopał sporą jamkę w ziemi, ale jak się pokazało, bynajmniej nie w celach ucieczki, a gwoli swej natury kopiącej; dość mu bowiem było posłyszeć brzęk talerzy, żeby natychmiast wylazł. Więcej był naiwnym wprost głupim, niż przebiegłym lub złośliwym.

Tych kilka słów, jakie przytoczyłem o borsuku chowanym u mnie w domu, niczego jeszcze nie dowodzą, wiem o tem; zdziwiony tylko łatwością oswajania się jego, i zajęty dalszą pracą w tym kierunku, nie byłem w możności wypróbować jemu może właściwych instynktów. Osobnik ten, przyłapany w porze fizycznego wycieńczenia, zbity kijami, znalazłszy się w ciepłej izbie, zaopatrzony we wszystko, traktowany uprzejmie, jednak wykolejony z właściwego trybu życia, miał powody zgłupieć, wyrzec się dzikości i zmienić usposobienie; choć wymowne złożył dowody łagodnego charakteru, pewnych zdolności, np. prędkiego zapoznania się ze swoim nazwiskiem, brzękiem talerzy i t. p. Bądź co bądź, nigdybym nie ośmielił się przedstawić go jako typowca, a tem bardziej zalecał głaskać, jak mnie się udało, ale też i opisanego przez pana J. H. za typowy charakter przyjąć nie mogę. Są to tylko cechy indywidualności, licznie napotykane w świecie zwierzęcym. Cechy ogólne dałyby się zestawić z szeregu liczniejszych obserwacyj. Że tak jest, dam za przykład parę żórawi i parę bocianów, jakie choduję obecnie, czyniąc nad nimi spostrzeżenia. Otóż obadwa żórawie jak i bociany, niesłychanie różnią się pomiędzy sobą, tak pod względem upodobań, humoru, zdolności, jak i samego charakteru — a pies, ileż to przedstawia odrębności indywidualnych?

Wracając do borsuków, opisanych przez pana J. H., które po zmasakrowaniu ich czerepów, aż do strzaskania czaszki, potrafiły uciekać, byłoby ze wszechmiar ludzkiem, aby biedakom odbierając życie, oszczędzić męczarni, i razić je śmiertelnie, przebijając serce; w zdrowych bowiem, silnych, dzikich, na łonie natury wyrośniętych organizmach, uszkodzenie nawet tak dostojnego organu, jakim jest mózg, nie pozbawia pewnych odruchów, które w końcu na ucieczkę zakrawają. Dopóki serce bije i nieuszkodzone, kończyny, oraz cały aparat odruchowy funkcjonować mogą, pozorna lecz bezwiedna ucieczka istnieć może. Konwulsyjne drgania konającego organizmu, mogły same zrzucić złożonego na sągu łupanego drzewa borsuka, a odruchy kończyn unieść go w stronę sąsiedniego lasu, jak drugi, przy tych samych warunkach życiowych, mógł wylecieć dziurą z wózka, a psy, następujące za wózkiem, niepotrzebując robić pościgu, zadowolniły się atakiem zgubionego. Wszak gołąb z wykrojonym mózgiem, a kuropatwa raniona śmiertelnie, gdy nie mają naruszonych bark, mogą się unosić w powietrze — często na metę obszerną.

Borsuk istotnie ma twarde życie i niełatwo daje się pokonać, dlatego razem z szanownym autorem, niechętnie słuchałem o niemieckim wyżle, który miał paszczą swoją rzucać borsukiem jak piłką i zabijać go tym sposobem. Zgadzam się, iż poddawany takim eksperymentom borsuk, mógł być do tyla znękanym, że ostatni cios wyżła-źrebca był dla borsuka śmiertelnym; wątpię wszakże, iżby każdy borsuk okazał tyle podatności psu najlepiej rozwiniętemu.

Byłem raz świadkiem następnego zdarzenia. Jechałem konno przez pola wsi Mińczuki (gub. i pow. grodzieńskie) bardzo rano. Kilka psów wiejskich wycierało pole dość pilnie; zaintrygowany, skierowałem konia ku psom i pomknąłem za nimi, zwracając przytem uwagę na okół — naraz, spostrzegam blisko zarośli uciekającego borsuka. Ciekawy

rezultatów, wkrótce znalazłem się razem z psami w zaroślach. W sześcioro natarły na borsuka, który przed samym atakiem zdążył dopaść gęstego krzaku, wzmocnionego rosochatym dębczakiem. Borsuk, zabezpieczywszy tyły, przyjął wyzwanie, i w gwałtownych acz krótkich rzutach naprzód. zajadle szczękał zębami jak stalą, broniąc się do upadłego. W ciągu walki, niekoniecznie wygodnej dla psów z powodu gęstwiny, dwóch ze skowyczeniem wycofało się z utarczki, gdy ta jednak przeciągała się zanadto długo, bez widocznych szans dla atakujących kundli, używszy serdecznie szpicruta, interweniowałem w sprawie borsuka i rozpędziłem psy. Borsuk, na widok zamięszania wśród nieprzyjaciół, rzucił się cokolwiek naprzód, prawie pod konia i to tak nagle, z takim fuknięciem gardlano-nosowem, iż konia zestraszył; niebawem wykręcił się i znikł w krzakach. Psy nie dały za wygraną, lecz w różnych puntkach zarośli wpadły powtórnie w krzaki i z ciągłem naszczekiwaniem robiły poszukiwania; borsuk zaś musiał mieć blisko, lub na poczekaniu wykopał jamę, skoro psy wróciły wkrótce i zajęły właściwe sobie stanowiska we wsi.

Na zakończenie nie powiem, aby ustawy łowieckie, ochraniając borsuka przez 10 miesięcy, popełniały zbrodnię. Jeżeli borsuk, w październiku i listopadzie ugania się za poczwarkami, ryjąc w ziemi, to świadczy, że wie, kiedy je tam znajdzie; a że przez lato również niszczy robaki, to są na to wyraźne dowody tam, gdzie uczęszcza bydło na pastwiska leśne. Na jednej łączce leśnej, gnieździły się licznie podjadki *(Gryllotalpa vulgaris)*; miałem sposobność przekonać się, że spokój kłócił im borsuk.

Nie chcę twierdzić, ażeby borsuk miał być wyłącznie wegetaryaninem; jeśli zaś napotkane gniazdo oczyści z jajek, wreszcie zje jakie ptaszę, lub głupiego zajączka, to jeszcze mniejszą zrobi szkodę, niż pastuchy, kłusownicy, psy domowe i koty; ale żeby borsuk miał aż do szkody pożerać zające i kuropatwy, stanowczo nie wierzę, a nie wierzę dlatego, że tak zając, jak kuropatwa i sam borsuk żerują w nocy, więc wszyscy są wtedy zajęci, czujni i przytomni, tylko z tą różnicą, że zające i kuropatwy zręczniejsze są od borsuka, a ten nie potrafi znów naśladować lisa ażeby delikatnym, cichym chodem, zdradziecko podchodzić swoje ofiary. Borsuk nie urządza polowania, ale zjada co napotka, co samo mu w łapę wlizie; on jest żerującym bez wielkiego wyboru przedmiotów, je niemal wszystko.

Znajdywane przez szanownego autora zajęcze i kuropatwie kosteczki w legowiskach niczego nie dowodzą; może zanosi resztki niedojedzonych a znalezionych ofiar. W takim razie umiałby robić zapasy na zimę i nie potrzebowałby jej przepędzać w letargu. Tymczasem pozbawiony jest zdolności noszenia w pysku łupu; przynajmniej na większe odległości i dla niskich nóg, nosa naprzód wysuniętego, jest to dla niego zbyt trudnem. Najwyżej może przynieść do legowiska mchu i liści na posłanie. Nie będę dalekim od prawdy, gdy powiem, że kosteczki, znachodzone w jamach borsuczych, są resztkami, pozostałemi z biesiady lisa. Jeżeli szanowny autor twierdzi, że borsuk przezeń złowiony, do spożycia bądź ptaka, bądź kota, zabierał się oryginalnie i ściągał z nich pierze lub futro, resztę zaś połykał z kościami i to mogłoby być cechą jego obyczajów, to w legowiskach borsuczych prędzej powinny się znaleść skórki zajęcze niż kosteczki. Nasze kucharki po ściągnięciu skórek z zajęcy, odprzedają je żydkom, czyżby ten handel trafił już i do jam borsuczych, ażeby ztamtąd skórki pozabierać?

Jeżeli teraz zestawimy to, że nie słychać było od wieków żadnej skargi naszej gosposi, ażeby borsuk, opuszczając swoje terytorya, zwiedzał oddalone pola, podchodził do kurników i kradł ptaszki, a czego nie umiałby zabrać, to potłukł lub podusił — a wyrzekań na lisa nie zmieściłaby i wołowa skóra — to zupełnie co innego lis, a co innego borsuk. Każdy z nich żyć musi i karmić się powinien, to prawda i racya bytu sprawiedliwa, tylko środki przedsiębrane do tego celu niejednakowe.

Gdy lis od „kwaśnych winogron“ (choćby w bajce) przeskoczyć potrafi do dzikiego prosięcia porwanego z przed nosa srogiej matki, to borsuk pełzacz, ani jednego ani drugiego wykonać nie jest zdolny. Gdyby więc ustawy łowieckie bardziej jeszcze skróciły lisowi termin swobodnego myszkowania, nie byłoby to zdrożnem; jeżeli bowiem lis, przy całej widocznej i powszechnie znanej zręczności i czelności, umie w razie potrzeby z pod klucza, zabezpieczenia, lub dozoru, kraść i rozbijać bezkarnie, to cóż się dzieje tam, gdzie ma pełną swobodę zadawalniać nietylko obszerny swój żołądek, lecz nikczemny, zdradziecki charakter, wspierany niezwykłą zręcznością i rzadką przytomnością wszystkich zmysłów?

Porównywując obydwóch, prędzej należałoby zapowiedzieć wytępienie lisa, a przynajmniej przez szersze ograniczenia w ustawie łowieckiej, uczynić go rzadszym, stworzonym niemal na deser emocyi myśliwskiej, osobliwie tam, gdzie jest zaprowadzone choćby jakie takie gospodarstwo łowieckie.

Najważniejszem jednak, na co pragnąłbym, aby ustawa łowiecka zechciała kiedy zwrócić swoją uwagę, jest wzbronienie używania tortur inkwizytorskich przy łapaniu borsuka; z opisu bowiem szanownego autora widzę, iż te specyalne obcęgi, jakiemi wydostaje odkopanego borsuka za górną szczękę, jakkolwiek słusznie zabezpieczają myśliwego przed złością zwierzęcia, są atoli zbyteczne, gdy borsuk ma być tylko zabity na skórę lub sadło. W takim razie wolałbym widzieć myśliwego na tym samym punkcie honoru względem borsuka, na jakim jest względem zająca w kotlinie. Prawda, ważną tu przeszkodą do stosowania tej rycerskiej galanteryi, jest bezprzestannie atakujący jamnik, którego szkoda, ale w tym razie, lepiej zostawić borsuka w jamie i brać się do niego w razie potrzeby, w innych warunkach i innymi sposoby, niż rozszerzać bez granic barbarzyństwo egzekucyi śmierci — zwłaszcza, jeżeli potem borsuk może „cichaczem ożyć“.

Chociaż gawęda powyższa nie ma za przedmiot i cel monografii borsuka i jest czysto przygodną, to jednak nie mogę jej zamknąć, dopóki przy tej okazyi, na rachunek borsuka, nie powtórzę tutaj za Brehmem, iż tylko nieprzyjaciel lasów może być nieprzyjacielem borsuka.

Radzimowice (pow. Mławski) d. 17. stycznia 1889.



Moje łowy.

Zdarzenie prawdziwe.

Dawno, lat temu będzie jakie ze trzydzieście,
Miałem wieś pod Krakowem; a choć, mocium panie,
Dla edukacyi dzieci zamieszkałem w mieście,
Bardzo jednak lubiłem psy i polowanie.

Oprócz stadka kuropatw i zajęcy kilku,
Zwierzyny w tej wsi mojej było bardzo mało,
Mówiono wprawdzie kiedyś, coś o jakimś wilku,
Ale go oko moje nigdy nie widziało.

Z tem też większą ochotą człowiek deptał niwy,
Łąki, krzaki, zarośla, ugory, wygony,
I jakby dziś pamiętam, jak raz, w dzień szczęśliwy,
W ośmiu strzałach zabiłem... srokę i dwie wrony.

Miałem jednak wypadek i ciężkiej natury,
Z którego mnie łaskawe wybawiły bogi —
Niech go jasne pioruny zatrzasną! — a który,
Taki, jak był, opowiem, ludziom dla przestrogi.

Owóż raz, przyjechałem na wieś w październiku,
Na dni kilka, by zażyć powietrza i wczasu;
A załatwiwszy różnych spraw bez liku,
Cieszyłem się na jutro ze strzelbą do lasu.

W wyśmienitym humorze, ruszyłem raniutko,
W torbę wziąłem kiełbasy łokieć, dwa kotlety,
Trzy wabiki, pięć bułek, tytoń, flaszkę z wódką,
I dwie nieprzeczytane, najświeższe gazety.

Wróżby miałem pomyślne, bom za kołowrotem
Spotkał żyda i babę z konwią wody pełną;
Słońce dzierżgało ziemię purpurą i złotem,
A wschód nieba się perlił posrebrzaną wełną.

Kilka godzin napróżno rozpatrując głogi,
Ciernie, krzaczki, błądziłem paląc papierosa;
Być może, że dlatego, żem się trzymał drogi,
Lecz bałem się inaczej — była wielka rosa.

Co prawda, to widziałem, bruzdą czy zagonem
Jak jakieś kuropatwy, czy przepiórki ciekły,
A i zając w pobliżu machnął mi ogonem,
Ale nie mogłem strzelać, bo leciał jak wściekły.

Wreszcie, koło południa znalazłem się w lesie;
Ha, myślę, niech tu teraz wyjdzie potwór jaki,
Choćby nawet niedźwiedzia niech tu los nadniesie,
Dam ja tym dzikim bestyom dobrze się we znaki...

A tymczasem odpocznę. Więc strzelbę zdaleka
(Ostrożność nie zawadzi) oparłszy o drzewo,
Sam kładę się na trawie, i jak wódz, co czeka
Na wroga, rzucam okiem to w prawo, to w lewo.

Kilka chwil przeleżawszy wśród rozkosznej ciszy,
Już miałem wziąć gazetę i napić się wódki,
Gdy nagle najwyraźniej ucho moje słyszy
Chrzęst gałęzi i pomruk, urywany, krótki...

Porwałem się i szybko siadłem na murawie.
Z pośród gęstych zarośli, od strony poręby,
Gdzie postawiłem strzelbę, o sześć kroków prawie,
Wynurza się łeb straszny i wyszczerza zęby.

Źle! Z początku myślałem: lew albo pantera,
Która na podwieczorek krew z ludzi wysysa;
Lecz wkrótce cała bestya z krzaków się przedziera,
I ujrzałem przed sobą — wielkiego kundysa.

Ochłonąłem. Dam ja ci! Palnę jak do tarczy!
I wstałem, by wziąć strzelbę; lecz właśnie z tej strony,
Od drzewa, staje kondel i szczeka i warczy;
Więc przypadłem do trawy, mocno przerażony.

Co tu robić? Iść naprzód, to narażać łydki...
Najlepiej siedzieć cicho. Więc siedzę ciekawy,
Jak to się wszystko skończy; a ów potwór brzydki
Także usiadł — łeb tylko widać mu wśród trawy.

Siedzisz! Ja ci pokażę! wyjmuję wabika,
Cofam się w tył przezornie. głowę za krzak kryję,
I jako wilk zawyłem; ale bestya dzika,
Skoczyła tylko w górę i tak samo wyje.

Myślę, trzeba fortelu, to się udobrucha;
Więc wyjmuję kiełbasę, robię słodką minę,
I ciskam nań. Upadła mu tuż koło ucha,
Wstał, połknął i znów warczy. Myślałem, że zginę.

Nie mam więcej sposobu! wstać, to na mnie skoczy!
Więc siedzę i on siedzi i siedzi bez końca,
I szczeka, albo warczy i wytrzeszcza oczy;
Patrzę, która godzina — blisko zachód słońca.

Nareszcie usłyszałem jakieś ludzkie głosy,
Więc wołam głośno: „Janie! Piotrze! dam co chcecie!“
Usłyszeli i przyszli, a że mieli kosy,
Więc choć i na nich szczekał, odpędzili przecie.

Wstałem, zabrałem strzelbę, zdjąłem kapiszony,
I wracając myślałem: Mój ty mocny Boże!
Gdybym nie był roztropny, byłbym skaleczony,
Trzeba wszystkim powiedzieć, co zimna krew może.

Swoją drogą z godzinę bolała mnie głowa,
I drugi raz nie życzę sobie takiej sceny,
To też kiedym nazajutrz wrócił do Krakowa,
Dominikanom na mszę dałem dwa guldeny.

M. Rodoć.

POCZCIWY DUNAJ.

Opowiadanie starego leśniczego.

Lat temu — mniejsza z tem ile, dość że dawno — połamałem zęby na grece, w tak zwanej „syntaxymie“ czyli czwartej klasie gimnazyalnej. Pan rodzic rzecze mi:

— Hebesie, skoro z ciebie nawet dyscyplina OO. Bazylianów buczackich nic nie zrobiła, zostań tedy *asinus asinorum*, *in secula seculorum.* Nie pojedziesz już więcej do szkół.

Otwarcie wyznam, że jakkolwiek wyrok ten ojciec mój bolesnym zakończył argumentem, był on mi jednak bardzo miłym. Jakżesz inaczej miałem czuć, 16-letni wyrostek? czując wstręt, niemal rodzinny, do książki; zato wedle przysłowia:

Nie mogłem pozbyć tej szlacheckiej żyłki
Do szabli, strzelby — no — i do kobyłki.

Toż w 16 roku życia byłem już myśliwym wcale dobrym, strzelałem trafnie, szablą nieźle machałem krzyżową sztukę, a konno jeździłem dalipan dobrze, na siodle i na oklep.

Lecz *ad rem.*

Pewnego dnia mówi pan rodzic:

— Smyku, zbieraj manatki, jutro bowiem „czut swit“ pojedziemy.

Wiedząc, że nie ma repliki na takie *dictum*, zgryzłem się. Nuż — myślę sobie — pan ojciec *de novo* zawiezie mnie do szkoły? Zbieram manatki, popłakuję czasami, w czem mi biedna matka wtórowała, a dodam, że i jej cel naszej podróży nie był wiadomy.

Na drugi dzień, wedle rozkazu, wszystko do podróży było gotowe. Siedliśmy na brykę i — wio!

Drugiego dnia, późnym wieczorem, oparliśmy się aż na podgórzu samborskim, na leśniczówce u leśniczego rządowego.

Pan leśniczy, Boże mój, jeszcze groźniej niż ojciec mój wyglądał. Był to chłop setny, o dużych, siwych wąsach i takiegoż koloru brwiach, niby dwa krzaki, okiścią pokrytych, z po za których wyglądało dwoje niepewnej barwy, bystrych oczu.

Przy wieczerzy mówi ojciec mój:

— Panie Janie, przywiozłem wam mojego nicponia na praktykę!

Struchlałem. Toż będzie bieda gorsza może, niźli u OO. Bazylianów.

Trzeciego dnia ojciec mój wrócił do domu, a ja pozostałem na leśniczówce.

W początkach wraz z panem leśniczym chadzałem w las; później samego mnie to za tem, to za owem posyłał. Wiedząc wszakże, iż nie ma żartów, chodziłem, jak to mówią, „jak po brzytwach“. Toż pan leśniczy znacznie złagodniał; wreszcie przyzwyczaiłem się do jego groźnej twarzy i ostrego w rzeczach służbowych obchodzenia się. Po za służbą był on zupełnie innym. Jowialnym, dobrym, nawet oczy jego groźne, jakiegoś jaśniejszego, milszego nabierały blasku. Polubił mnie w końcu.

Lasy owe, których pilnował, t. zw. „kameralne“, bardzo były rozległe. Oprócz nas dwu i dwu podleśniczych, było jeszcze 18 leśnych. Pod nadzorem tak sprężystego jak leśniczy szefa, służba szła jak w wojsku, regularnie. Nikt bez wiedzy organów leśnych patyczka z lasu nie wyniósł.

A jednak był i u nas mól, który nam wszystkim srodze dokuczał. Był ktoś, co przeróżnym sposobem sprzątał nam zwierzynę. I to jakim sposobem? Nie na strzelbę, tylko na przeróżnego kształtu samołówki, które tylko czasem i chyba przypadkowo odnachodziliśmy. Na nic się nie zdały wszelkie nasze zasadzki, szukania i t. p. sztuczki. Zawsze spełzły na niczem, lub przychodziliśmy *post festum*, albowiem ten „ktoś“ już był wpierw samołówki, wraz z pochwyconą sarną lub zającem, co świadczył wyraźnie ślad, uprzątnął.

Wiedząc, jak to truło spokój mojego szefa, nic nikomu nie mówiąc, przedsięwziąłem sobie dojść prawdy, kto też robi nam takie szkody.

Pewnego dnia posyła mnie szef dla skontrolowania jednego z leśnych, który miał sławę leniucha. Do chaty jego było daleko, toż miałem, przenocowawszy gdzie w krzakach, którego dnia świtem wpaść do chaty leśnego i zobaczyć, czy w betach się wylega, czy wedle służby obchodzi swój rewir.

Nabijam dubeltówkę, ubieram guńkę, która, jakkolwiek to lipiec, nie zawadzi na rosę a wilgoć ziemną w czasie noclegu — i idę.

Lato było suche, wiele pomniejszych zdrojów wyschło zupełnie, toż sarny osobliwie szły za poidłem w stronę, gdzie płynął obfity w wodę potok. Gdyby tam pójść — myślę sobie — i zasiąść na owego „ktosia“, który wiedząc, że sarny tam dla wody podążą, nieochybnie samołówki ponastawiać musiał? Zbaczam tedy ze ścieżki i dążę ku owemu potokowi. Księżyc świecił dość jasno; patrzę, jest jedna, druga i więcej powłoczek, w przystępnych do wody miejscach poustawianych. Więc kryję się w niedalekim olszniaku i odwiódłszy kurki, czekam, co z tego będzie.

Po jakiej godzinie, wyraźnie śród głuszy zasłyszałem szelest jakiś. Aha! — myślę — idzie kłusownik. Serce poczęło mi bić w piersi jakby młotem. Aż patrzę — oto stadko sarn po podnocnem żerowaniu kroczy ku wodzie. Naraz jedna z nich poczęła piszczeć żałośnie, targać sobą. Poznałem, że się biedna ułowiła. Pójść, wyzwolić ją z więzów? nie! Czekam z wlepionym w stronę wody wzrokiem i słucham.

Naraz chwyta mnie coś z tyłu za ramiona niespodzianie, ku ziemi przygniata, i o ile niestraciłem pamięci mówi:

— Tuś meni panyczyku!

Poczem począł mnie dusić za gardło. Straciłem przytomność... Naraz kłusownik porzuca mnie. Odzyskuję przytomność, zrywam się na nogi, i cóż spostrzegam? Kłusownik wszelkiemi siłami stara się z ramion swych zrzucić zwierzę jakieś.

Na Boga, taż to nasz „Dunaj“, ogar z leśniczówki. Porywam tedy za dubeltówkę i wołam: „Dunaj, puść!“ Puścił w końcu. Dalej mówię do kłusownika:

— Ani kroku ku mnie, ani pragnij uciekać, bo cię na miejscu ubiję.

— Ach, trysta twoju mamu, no! no!

— Marsz naprzód! ku leśniczówce — zakomenderowałem. I kłusownik, jak pokorne jagnię, ruszył wolnym krokiem,

a ja z odwiedzionemi kurkami szedłem za nim. Poczciwy Dunaj, jako wierny pomocnik, deptał niemal po piętach chłopu. A warczał i sierć jeżył na grzbiecie. Gdyby nie ciągłe moje nawoływanie, wielką miał ochotę ponowić atak na zbója.

I cóż to był za pies, ten poczciwy Dunaj, mój wybawca? Ogar dużych rozmiarów, postrach dzików i wszystkich na leśniczówce, regardujący jedynie leśniczego i mnie. Mnie kochał — nie mam na to porównania. Lecz zkąd się wziął przy mnie? Przecież go z sobą nie brałem. Miał to w zwyczaju, że skoro spostrzeże nieobecność moją w leśniczówce, a nie pojechałem konno lub wozem, po tropie wynajdzie mnie choćby o mil dziesięć. Burczałem go za ten zbytek przywiązania, bo nieraz obecność jego była mi zawadą. Nic to nie pomogło, jak tylko mógł, wymykał się z domu i nuż szukać za mną. Gdy odnalazł, dłuższy czas z obawy kary kroczył za mną bądź zdaleka niepostrzeżony, lub, gdy siedziałem, i on oblegał w gąszczach, jakby namyślając się nad sposobem, lub chwilą pokazania mi się. Owej nocy musiał zajść ten wypadek, który mi ocalił życie.

O wschodzie słońca stanęliśmy na leśniczówce. Ja tryumfująco wołam z dala do leśniczego:

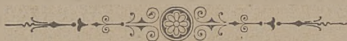
— Oto jest ten „ktoś“, co nam chwytał zwierzynę!

— Na Boga to Jacyło! — woła leśniczy.

Jacyło, postrach całej okolicy, za liczne kradzieże kilkakrotnie po 8 i 10 lat kryminałem karany, porzuciwszy w końcu rozbój i kradzież, stał się kłusownikiem.

Oddany do samborskiego kryminału, za napad na mnie, o czem wyraźnie świadczyły sińce na mojem gardle i ramionach, skazany został na lat 15 ciężkiego więzienia. O karze za chwytanie nieswojej zwierzyny, w owym czasie nie było wspomnienia w paragrafach. Na moje i okolicy szczęście, w drugim roku odsiadywania kary, Jacyło umarł w więzieniu.

A. Ubysz.



Z obcych światów.

I.

Wycieczka łowiecka we wschodniej Afryce.

Kapitan Wissmann, podróżnik afrykański, którego obecnie rząd niemiecki wysłał jako prokonsula do posiadłości w Afryce, ogłosił sprawozdanie z poszukiwań swych na czarnym kontynencie. Ze sprawozdania tego wyjmujemy następującą relacyę myśliwską:

...„Dnia 27. września 1881. ruszyła karawana Tippu-Tipa w pochód. Przebierałem się z nią od Tabory ku wschodnim wybrzeżom Afryki. Ponieważ byłem zawsze najwcześniej rano gotowym, trzymałem strzaż przednią. Posuwaliśmy się przez wysoki lecz bezcienisty las, po zeschłej trawie, od Itury na Wschód. Cała ta leśna równina jest niezaludniona; tylko kilka małych „tembów“ (osad) spotkaliśmy pierwszego dnia podróży.

Nigdzie nie było ani jednego strumyka; potrzebną dla karawany wodę, białą, gęstą, mulistą, czerpaliśmy z małych kałuży. Wśród posępnej ciszy szła karawana po olbrzymich płytach gnejzu i po kwarcowym żwirze, pomiędzy rozrzuconemi tu i owdzie skałami, przez sawanny leśne i małe łączki tuż nad brzegiem potoków, które tylko w czasie deszczów toczą spienioną wodę. Pewną odmianę w nużącej jednostajności tutejszej flory stanowią rosnące tu i owdzie palmy o liściu wachlarzowym, i dopiero d. 30 września ujrzeliśmy pierwszy baobab, drzewo chlebowe.

Rozciągające się tu lasy, są istnem eldoradem dla myśliwego. Zazwyczaj popołudniu wybierałem się z strzelbą na ramieniu. Pewnego dnia zaszedłem na łąkę, na której tu i owdzie puszczała się już młoda, jasno-zielona trawa. Zdaleka już ujrzałem stadko zeber. Dotychczas nie udało mi się ani razu podejść i ubić zebrę, choć nieraz chciałem tego dokazać. Stado zeber przedstawia jeden z najpiękniejszych widoków, jakim wzrok ludzki paść się może. Siła i dzikość, zręczność i wdzięk są wyrazem każdego ruchu zebry. Zwierzę to, niesłychanie czujne, zwraca uwagę na każdą najdrobniejszą okoliczność. Strzyżąc uszami, a nozdrza rozwarłszy szeroko, zapiera się prowadzący stadko ogier przedniemi sztywnie wyciągniętemi nogami, uderza niecierpliwie ostrem kopytem ziemię, to staje prosto jak świeca, oglądając się bystro na okół, to znów, zaniepokojony, jakgdyby próbując sił swych do ucieczki, daje kilka potężnych susów i parska ostrzegająco. Na ten sygnał podnoszą klacze głowę, rzucają się naprzód jedna przez drugą jak na sprężynach, przesadzają kępy traw i krzewy, i w okamgnieniu opuszczają podejrzane miejsce. W pewnem oddaleniu zatrzymują się jeszcze, zwracają głowę, śledzą chwilkę — wreszcie nikną z oka, pędząc w prześlicznych susach.

Śmiertelnym nieprzyjacielem tych pięknych zwierząt jest król pustyni — lew. Wątpię, ażeby lampart miał odwagę narażać się na ostre zęby i twarde kopyta rozsierdzonej zebry. Teraz ja starałem się je podejść i czołgałem się ostrożnie samym brzegiem krzaków, okalających łąkę. Nagle na lewo odemnie wypadły dwa guźce (rodaj zwierząt szczecinowatych, *Warzenschwein, Phacochoerus aethiopicus)* z porządnymi kłami i prychając stanęły na 10 kroków odemnie, ażeby się nieznanej im dotąd istocie bliżej przyglądnąć.

Zanadto byłem mojemi zebrami zajęty, ażeby chcieć godzić na życie tych szkaradnych napastników, których mięsa we wschodniej Afryce i tak się nikt tknąć nie chce. Wydobywszy więc chustkę, odpędziłem je, a sam leżałem cicho w ukryciu, ażeby się przekonać, czy łoskot umykających guźców nie spłoszy mi zeber. Gdym znowu o kilka kroków naprzód się posunął, przebiegły tuż koło mnie w potężnych susach dwie antylopy, a nieco dalej zadrżała ziemia pod silnemi uderzeniami kopyt. Obejrzałem się, sądząc, że może bawoł pędzi, i zobaczyłem znikającą pomiędzy drzewami dużą, przepyszną żyrafę.

Wreszcie podsunąłem się na odległość strzału pod zebry. Było ich dwadzieścia; prócz tego pasło się jeszcze kilka antylop i dwa guźce. Na lewo stało kilka antylop z pięknemi rogami kręconemi, zwanych Kudu *(Antilope strepsiceros)*, a tuż przedemną dwie karłowe antylopy. Wziąłem na cel największą na pozór z pomiędzy zeber. Strzał padł i piękne zwierzę legło na miejscu, podczas gdy inne jak wicher pierzchnęły, gdyż we wzruszeniu myśliwskiem wyskoczyłem z krzaków. Na huk strzału rzuciły się zkądeś dwa bawoły w zarośla, i powstała na około taka bieganina, trzask

gałęzi i ucieczka, że zdawało mi się, jak gdybym był w pośrodku jakiegoś uciekającego stada.

Ubite zwierzę było niestety źrebną klaczą. Gdym się zbliżył, aby leżącej zebrze przeciąć nożem gardło — procedura, do której ze wstrętem się stosowałem, gdyż inaczej w całej wschodniej Afryce niktby nie tknął mięsa z niezarzniętego w ten sposób zwierzęcia — wyskoczyły tuż obok mnie dwie antylopy, które się były w trawie przyczaiły.

Cały nasz obóz powitał z radością zwierzynę. Mięso zebry, aczkolwiek nieco słodkawe, jest bardzo smacznem. Obóz zakładaliśmy zawsze na brzegach wyschniętych strumieni, gdyż w najniższych zagłębieniach utrzymywały się tu jeszcze małe kałuże wody. W takich „kałabaniach“ złowili nawet nasi ludzie ryby, niemal na stopę długie. Tuż obok takich kałuży kopano rowek, i ten się wkrótce wodą napełniał. Był to najpierwotniejszy sposób filtrowania wody, która się stawała przydatną do picia.

Z powodu niesłychanego upału — gdyż słońce, nie zakryte chmurami, piekło nas przez dziewięć godzin z rzędu, pionowo zsyłanemi promieniami — odbywaliśmy marsze nocne, jeśli na to zezwalał księżyc, który tu tak jasno świeci, że przy świetle jego wybornie można pisać. Jak grono jakichś duchów bezcielesnych, nie rzucając za sobą cienia, oblane żółto-niebieskawem światłem, posuwała się karawana ku wschodowi. Przed nami świeciła na niebie olbrzymia kometa, podczas gdy łagodne, chociaż silne światło księżyca, stojącego na zachodzie, tłumiło cień rzucany przez kometę która na jakich 60 stopni rozścielała po niebie miotłę swą tajemniczą.

W czasie noclegów spędzało nam sen z oczu bezustanne, obrzydliwe wycie hyen, które się ciągle koło obozu kręciły. Dnia 2. października dało nam znać szalone galopowanie naokoło obozowiska, że hyena ugania za osłami, które niedobrze spętano. Ja rozbijałem swój namiot zazwyczaj na uboczu od Arabów, dopiero więc nazajutrz dowiedziałem się, że piękna maskatowa oślica została pożartą, a osioł tak pokaleczony, iż musiano go dobić.

Nadchodził teraz najpiękniejszy czas polowań. Stare, wysokie trawy były popalone, a na łąkach niżej położonych puszczała się świeża, młoda trawa i nęciła do siebie zwierzynę wszelkiego rodzaju.“

Choroby psów i sposoby ich leczenia.

Racyonalna chodowla psów jest jeszcze u nas dosyć zaniedbaną, co zaś do traktowania tych przyjaciół człowieka w razie chroby, panują częstokroć dziwne przesądy, tak, jakgdyby organizm zwierzęcy u psów nie podlegał tym samym prawom natury, a objawy patologiczne nie miały tej samej zasadniczej podstawy, co u innych organizmów zwierzęcych. Wydaje nam się przeto pożądanem podać w krótkości wykaz najważniejszych chorób i domowych środków leczenia psów, przyczem posiłkujemy się artykułami, zamieszczonemi w wiedeńskiem pismie: *Mittheilungen des N. oesterr. Jagd-Vereines*

* * *

Wychudnięcie, konsumcya (szybkie opadanie z ciała), przydarza się częstokroć bez wyraźnej przyczyny, tak u młodych psów jak i u starych. W obu wypadkach następuje znaczny upadek sił u ogabniętego tą słabością zwierzęcia. Psy bezprzestannie leżą w czasie tej choroby, tóż nabawiają się „odleży“ wystających części ciała, tj. kłębów, boków itp. Choroba ta, najczęściej 3 do 4 miesięcy trwać zwykła, poczem następuje śmierć. Pielęgnacya, a względnie kuracya chorego w ten sposób psa, bezwzględnie od tego rozpocząć się powinna, żeby o ile możności podtrzymywać jego siły fizyczne. Choremu psu podawać dobrą karmę z gotowanego mięsa wraz z rosołem, którym się drobno pokrajany chleb żytny (najlepiej razowy) polewa, i w niewielkich, lecz zato częstych dawkach podaje. Również jest ważne, żeby psa podobnie chorego do polowania nie używać, niemniej nie zmuszać go do wytężającego biegania za bryczką lub wierzchowcem. Na legowisko przeznaczyć mu suche lecz nie zbyt ciepłe miejsce. Przytem zadawać mu należy w małych dozach środki gorzkie aromatyczne, ułatwiające trawienie, także rumbarbarum, asafetydę, wreszcie tran rybi, 2 lub 3 razy dziennie, po jednej łyżeczce od kawy. Wrazie pojawienia się biegunki, starać się jej jak najprędzej zaradzić.

Moczenie krwią jest zazwyczaj oznaką choroby jednego z narządów moczowych. Pomimowolne a częste moczenie objawiać się zwykło albo tylko potrosze, kroplami, albo obficie i często. Choroba ta jest następstwem chorobliwego wycieńczenia, sędziwego wieku, lub sparaliżowania pęcherza. Należy ona do ciężkich, należy przeto wezwać porady weterynarza.

Kurcze żołądkowe, rozwolnienie, biegunka, objawiają się: pierwsza przez wicie się psa w bolach, a dwie wtóre przez obfite wodniste odchody. Przyczyną tego są zaziębienie, albo też przekarmienie przedmiotami zepsutymi, lub drażniącymi jako to: starym zepsutym tłuszczem, lub ostrymi korzeniami: imbierem, pieprzem itp. Przy podobnych przypadłościach pojawiać się zwykła i gorączka. Kuracya polega w tym wypadku na starannem chronieniu chorego psa od możliwego przeziębienia i na wyłącznem żywieniu go płynnemi zupami mięsnemi. Zalewać go także można odwarem z rumianku. Przy gwałtownych bolach i kurczach, zadaje się z dobrym bardzo skutkiem emulzyę (mleczko) z oleju makowego lub lnianego, albo, gdy jest pod ręką opium, $^{2}/_{100}$—$^{6}/_{100}$ grama tegoż w odwarze z rumianku lub kleiku fasowanym. W razie, gdyby nawet po użyciu tych srodków choroba się nie umniejszała, wypada wezwać weterynarza.

Nabrzmienie i zapalenie ujścia kiszki stolcowej, przydarza się tylko u psów bardzo starych. Mocne a częste napinanie się psa do wyrzucenia z siebie odchodów, lub tak zwane „sankowanie“, t. j. tarcie po ziemi narządem odchodowym, są oznakami tej choroby. Nabrzmiałość ta przedstawia się w postaci guza, czemraz więcej na rozmiarach przybierającego. Domowymi środkami rzadko kiedy udało się usunąć tę chorobę chirurgicznej natury.

Zapalenie moszen lub jąder. Pierwsze objawia się u psów często, drugie bardzo rzadko. Przypadłość tę łatwo poznać przez większy rozmiar tych części ciała. Niemniej

moszna dostają barwy czerwonej tj. „zapalonej“. Ważnym warunkiem ułatwiającym kuracyę jest: Zbadawszy dokładnie chore miejsce, przekonać się, czy na takowem nie znajdują się rany od ukąszenia drugiego psa, zadane przez kogoś ostrem jakiemś narzędziem, lub t. zw. „zaskaleniem“ t. j. wetknięciem w ciało kolca tarniny, głogu l. t. p., co przy „buszowaniu“ psa po lesie lub krzakach łatwo nastąpić może. Należy zatem najprzód uprzątnąć obce te przedmioty i w obydwu przypadkach obmyć ranę jak najstaranniej wodą letnią z mydłem. Później, aż do zupełnego zagojenia, smarować ranę maścią blajwajsową. Chorego psa żywić przytem niezbyt gęstym żerem — w przeciwnym bowiem razie utrudnia mu to wypróżnianie, a tem samem dotkliwe sprawia bole.

Padaczka (konwulsye, epilepsya*). Pies nią ogabnięty pada na ziemię, drga całem ciałem, rzuca sobą konwulsyjnie. Przed każdym paroksyzmem upewniają cię pewne oznaki o zbliżaniu się napadu: niepokój, lub nagłe śród ruchu sztywne przystawanie; naraz poczyna pies kręcić się w miejscu, chwiać się, a w końcu upada na ziemię, uderzając głową, przyczem nieraz toczy mu się piana z pyska. Ciężka ta słabość nie łatwa do wyleczenia. Środki domowe tu nie wystarczają, powinno się wezwać weterynarza.

Zbyteczna tusza czyli zapasienie trafia się tak samo u psów jak i u ludzi. Przebranie w objętości jest wynikiem gromadzenia się nadmiaru tłuszczu. Zapasienie to, które w końcu staje się chorobą, u psów mających wiele ruchu, jak n. p. używanych często do polowania — nigdy się nie przydarzy. Przeciwnie, u psów mało ruchu używających, a w dodatku obficie mięsem żywionych, jest niemal koniecznem następstwem. Zbyteczna otyłość jest tylko pozornem zdrowiem. Pies zapasiony nie ma sił. Na grzbiecie wypada mu sierć całkowicie i dostaje wyrzutów skórnych, które w końcu przechodzą w trudne do wyleczenia liszaje, zwane pospolicie „weszką“. Kuracyę rozpocząć należy najprzód ścisłą dyetą, czyli skazaniem psa na $^1/_4$ codziennej racyi pożywienia, i zmuszaniem go do dalszych chodów. Co tydzień zadawać mu środki przeczyszczające, jako to: olejek rycynowy, odwar senesu, pigułki Augustyna itp. Użycie jodku potasu, lub tynktury jodowej, jest także wskazane.

Następujące choroby skórne najczęściej u psów się pojawiają:

1. Na pewnych miejscach na skórze powstają małe lub większe pryszcze; najpierw na podbrzuszu, w pachwinach lub na łopatkach wewnątrz. Pryszcze te pieką i swędzą, co zmusza psa, osobliwie w czasie spoczynku nocnego, do ciągłego drapania się pazurami zadnich nóg. Z tego powstają rany częstokroć większych rozmiarów i strupy. Chorobę tę należy leczyć najprzód dyetą. Zewnętrznie często obmywać miejsca opryszczone zwyczajnem albo sinem mydłem, lub ługiem mydlarskiem, także nacierać je mydłem mazianem, a jeszcze lepiej mieszaniną jednej części mazi z 8 częściami oleju lnianego lub gliceryny. Wewnętrznie przynajmniej raz w tygodniu zadawać także środki przeczyszczające.

2. *Liszaj wilgotny* zwykł się wytwarzać przy zbyt obfitej a pożywnej karmie, zanieczyszczeniu skóry przez brud i brak ruchu. I w tym wypadku dyetę jak najusilniej się zaleca, niemniej wymycie całego psa letnią wodą i mydłem i smarowanie miejsc poranionych maścią mazianą, powyżej wskazaną. U piesków pokojowych, jako wątłych i delikatnych, dla których maść maziana byłaby może za ostrą, wystarczy mięszanina balsamu peruwiańskiego z gliceryną.

3. *Liszaj suchy, czyli „łuszczak“*, który powstaje z przyczyn ukrytych, a często wewnętrznych, nie zwykł ustępować pod działaniem zwykłych środków leczniczych i trzeba nieraz weterynarza do leczenia go wezwać.

4. *Parchy, czyli świerzb* powstaje przez wgryzienie się psiego świerzbowca, czyli „ocieklinek“ pod skórę. Choroba ta jest nader zaraźliwą, przeto skoro się u psa pojawi, powinien być takowy natychmiast z pomiędzy innych psów wyłączony, w przeciwnym bowiem razie parchy nietylko na resztę psów, lecz na konie a nawet na ludzi się przeniosą. Dodam tylko, że świerzb psi, na ludzi przeniesiony, sam przez się po kilku tygodniach ginie. Chcąc wyleczyć psa ze świerzbów, powinno się go przedewszystkiem umyć wywarem z prostego tytoniu, z dodatkiem kilkunastu kropel kreozotu, smarować surowicą naftową, lub myć ługiem mydlarskim. Mycie przedsiębierze się szczotką, z przyczyny, że świerzb łatwo człowiekowi udzielić się może, oraz dlatego, że ług mydlarski jest gryzący i rani rękę. Dr. Pillwax, profesor wiedeńskiej szkoły weterynarskiej, z bardzo dobrym skutkiem używał na świerzb płynnej maści maziowej. Ilość użycia tej maści stosuje się do wieku, wzrostu zwierzęcia, niemniej jak i do rozmiaru przestrzeni, zajętej przez pasożytny owad. Do jednej części mazi drzewnej mięsza się 2—4—8 części oleju lnianego lub gliceryny. Mięszaniną tą smaruje się psa (najskrzętniej w miejscach zakażonych) co dni 4. Po 8 dniach od pierwszego wysmarowania, potrzeba psa wymyć starannie ciepłą wodą i szarem mydłem. Skoro się spostrzeże, że pies drugiego lub trzeciego dnia po wysmarowaniu, znowu się drapie, czyli „czuchra“, należy natychmiast ponowić posmarowanie. Zazwyczaj trzy lub pięciorazowe wysmarowanie psa, leczy go zupełnie.

Porażenia (sparaliżowania) dość często u psów się przydarzają, tj. porażenia pojedynczych członków np. ucha, wargi, jednej z nóg itd., a częstokroć i całem ciałem bywa pies porażony. Porażenia są długotrwałe i nader trudne, częstokroć niemożliwe do wyleczenia. Dla tej przyczyny należy się radzić doświadczonego weterynarza.

Nowotwory, narośla gąbczaste na organach rozpłodowych u suk, powstają zazwyczaj w skutek mechanicznych skaleczeń, po ciężkim porodzie. Nowotwory na organach płciowych zewnątrz. lub blisko w pochwie powstałe, łatwo przez wycięcie usunąć, a tem samem i wyleczyć się dadzą. Inaczej rzecz się ma z nowotworem wewnątrz utworzonym. Choroba to ciężka, zagrażająca życiu. Skoro przytem pocznie z miejsca chorego jucha lub ropa cieknąć — leczenie staje się niemożliwem i zwierzę trzeba ubić.

(Dokończenie nastąpi.)

*) O przyczynie tej słabości, osobliwie u psów młodych pisze kalendarz „Łowca“ z r. 1886. w artykule „O chorobach psów“. P. Tłu...

KORESPONDENCYE.

Z Jasielskiego w marcu.

(Interpelacye do św. Huberta.)

U nas również nie brak poważnych doświadczeń, prawdziwych zdarzeń, wypadków i t. p. myśliwskich przygód. Dlaczego atoli z naszej okolicy trudno spotkać się w „Łowcu“ z korespondencyą, lub sprawozdaniem z naszych polowań, Ciebie zapytuję o to św. Hubercie? Interpeluję Cię, bo nie wątpię, że ty wiesz o wszystkiem co się u nas dzieje.

Wiadomem ci, że zimę tegoroczną jako nową klęskę dla naszego łowiectwa zaliczyć należy. Wprawdzie mrozów wielkich i dłuższy czas trwających nie mieliśmy, zato od 1. lutego b. r. cała okolica nasza została pokrytą skorupą lodową a następnie warstwą śniegu na 0·80 m. grubą (pominąwszy zaspy i pagórkowate miejsca, które przez wiatry zachodnie ze śniegów obnażone zostały). Gdzie więc nie podawano karmy zwierzynie łownej, o losie jej reszty domyśleć się można.

Wiadomem Ci również być musi św. Hubercie, że w naszej południowo-zachodniej części powiatu, nie widzieliśmy w ubiegłym sezonie myśliwskim ani jednego „marczaka“ i „kwietniaka“, natomiast w grudniu widywaliśmy z późniejszych lęgów zaledwie pół wyrosłe szaraczki. Wiesz przecie św. Hubercie także o tem, że w ubiegłym sezonie polowania ubijaliśmy przeważnie samice zająca. Ja zbadałem tu i owdzie, że na 219 ubitych zajęcy, padło 192 samic. Wynik ten nie przypadł w udziale jedynie nam. Pan W. hr. B. w powiecie Kr.. przestał u siebie polować na zające od 1. stycznia b. r. jedynie z tego powodu, że na kilkanaście zajęcy, które on sam ubił, padły tylko samice. Co do tego wyniku byłoby nam bardzo przyjemnie, aby sz. Redakcya swoim doświadczeniem objaśniła nas, dlaczego w naszej okolicy było tak dużo samic, gdyż o jakość płci zajęczej przyroda tu się troszczy*). My strzelamy co Bóg stworzył nie wybierając rodzaju.

A czy wiadomem Ci, św. Hubercie, że pewni panowie Nimrodowie z sąsiedztwa ubili w lesie sarnę, siutę? jak nie mniej i o tem, że myśliwi miasteczka Koł... zastrzeliwszy siutę, a nie dostawszy jej w swym obrębie polowania, wyekspedyowali podwodą uzbrojonego strażnika bezpieczeństwa, by ją z dworu do Koł... dostawił? Jak sarna ta dostała się do dworu w L., opowiem Ci św. Hubercie. Oto leśny i karbowy, wracając do domu z miasteczka, spostrzegłszy sarnę przez psa gonioną i zauważywszy możność odebrania jej psu, według swego rozumowania chłopskiego postąpili. Trzeciego dnia oddali jednak przywłaszczoną sobie sarnę w ręce ck. żandarma w Brzostku, który w celu zabrania jej zjawił się w L. służbowo. Tak co do pierwszej, jako też i drugiej siuty, które w ubiegłym sezonie polowania ubite zostały, władza kompetentna została uwiadomioną. Przyczyń się zatem św. Hubercie, ile jest w Twej możności, by sprawa tak co do pierwszej, jak też i drugiej ubitej siuty, nie uszła płazem tym myśliwym, którzy lekceważą ustawę łowiecką, a niegodnych ciebie wyznawców wyklucz ze swego zakonu.

Wreszcie św. Hubercie i z tem ci się zwierzę, że nasi Nemrodzi z większą przyjemnością czytają *Jagd Zeitungi* i *Widmanns-Heile, Oesterreichische Forst Zeitungi*, a nawet *Haj*. O święty Hubercie! Ty masz tak dużo sposobności spędzać czas na łowach z dobrymi myśliwymi, rozgrzewaj przeto ich serca do naszego „Łowca“, który tak cenne usługi nam przynosi, a jest stosunkowo tańszym od obcych pism. Św. Hubercie, czyń, co w twej możności, bo nam kiedy, a może w krótkości, zrobi „ktoś“ zarzut:

Cudze chwalicie,
Swego nie znacie,
I nic nie wiecie,
Co w „Łowcu“ macie.

O, św. Hubercie! Błagam Cię również, byś zachęcał naszych myśliwych do energicznego tępienia psów i kotów, włóczących się po polach, szczególnie wiosną, podczas lęgu naszych zwierząt łownych i do tępienia lisów w norach, ku czemu nadchodząca wiosna jest najodpowiedniejsza, wreszcie do tępienia jastrzębi, srok i wron. Tu wypadałoby wspomnieć i o bocianie (Wojtku Klekocie, jak go u nas nazywają). Ponieważ od dziecinnych lat moich mam sympatyę do tego ptaka, a nadto z własnego doświadczenia wiem, że tylko w suchych latach w łowiectwie czasem szkodę wyrządza, a jest rzadkim mieszkańcem w naszej okolicy — skarg na niego wnosić nie będę. Dajmy na razie spokój „Wojtkowi Klekotowi“, a tępmy natomiast gorszych drapieżców (także kłusowników), a ja ręczę za to, że powetujemy w naszem łowiectwie to, co nam zima r. 1888. i 1889. wydarła.

Św. Hubercie! wysłuchaj błagań moich tem pewniej, że może niejednokrotnie doszły Cię utyskiwania naszych myśliwych, iż coraz gorzej dzieje się u nas i coraz mniej mamy zwierzyny łownej pożytecznej. Gdybyś nie wiedział — czego nie przypuszczam — uwiadamiam cię o tem w krótkości następującym wierszem:

Dawniej, mospanie,
Wieczorem wsiadłszy w sanie,
Jadąc szosą do Jasła,
Często „dwururka“ trzasła,
Na pszenicy lub rzepaku,
Zabrało się po „szaraku“.
Dzisiaj, panie!
Wsiadłszy w sanie,
Możesz jechać na Ołpiny,
Nie zobaczysz „kopyrzyny“,
Zato „mykita“ często cię powita,
Lecz ów „mysi-panek“ ze sanek
Kpi i kwita.

Kończąc tem moją korespondencyę do Ciebie św. Hubercie, żywię nadzieję, że raczysz mnie wysłuchać i będziesz pobłażliwym dla Twego prawdziwego wyznawcy.

W. Charlewski.

Lwów d. 27. marca 1889.

(Nornik polny.)

Zkąd do nas przybywa nornik *(Hypudaeus arvalis)*, i jakim trybem żyje to zwierzątko, przez lud myszą polną nazwane, dokładniej skreśliłem w „Łowcu“ nr. 2. z r. b.

---

*) Z relacyi szan. korespondenta nie możemy niczemu innemu, ,ak tylko przypadkowi przypisać, że pazeważnie samice strzalano, natura bowiem marczaków i kwietniaków wedle płci nie dzieli. *Prz. Red.*

Nornik polny, w niezliczonej liczbie do nas przybyły, niezmierne poczynił szkody w zasiewach ozimych. Wielu staranniejszych rolników wysilało się, pragnąc wytępić szkodników. Niezmierna ich liczba i płodność udaremniała wszelkie trudy. Na paręset wyniszczonych, przybywało tysiące; niemniej ich się i rodziło. Na szczęście rolników, mnóstwo ma nornik polny tępicieli: sów, jastrzębi, włochaczów, srok, wron, gawronów, kruków, jak i lisów, borsuków i t. p. Wymienione gatunki zwierząt najdzielniejszemi są pomocnikami zrozpaczonych rolników. Któżby się jednak spodziewał, że największym tępicielem nornika polnego jest śnieg, gdy topnieje. Zwierzątka te nie znoszą wilgoci, sprawia im bowiem wiele przykrości w przechowaniu zasobów zboża w ziarnie, które zrasta i staje się do pożywienia nieprzydatne, uniemożliwia przytem grzebanie nor, jakkolwiek wybierają do tego miejsca suche, jak rowy przydrożne, a względnie ich nasypy, wysokie miedze, kurhany itp. wyniosłości, z których woda deszczowa spływa jak z dachu, do wnętrza nor się niedostając. Nic jednak nie ochroni nor przed zamoknięciem, gdy śnieg topnieje. Rok ten, tak obfity w śniegi, mogę zaręczyć, niemal do szczętu norniki polne wytępi, pozalewa je. W okolicach, jak na Podolu, gdzie jest zwyczaj stawiania stert lub stogów zbożowych w polu lub na gumnach, ma w nich nornik polny ostateczne schronienie przed głodem i powodzią; tam się też hurmą zbiera. Zwracam na to uwagę pp. rolników, ażeby nie omieszkali przy zwózce zboża ze stert i stogów użyć nadarzonej chwili, i jeżeli się tam gromadnie norniki schroniły, w kilku lub kilkunastu chłopaków, w duże miotły opatrzonych, wybić do jednego szkodników. *A. Ubysz.*

Brody d. 18. marca 1889.

(Wynik łowiecki. — Wilki.)

W państwie Brodzkiem ubito w ubiegłym sezonie łowieckim 18 lisów, 1 wydrę, 2 koty, 32 jastrzębi, 13 dzików, 24 kozłów, 116 zajęcy, 1 jarząbka, 4 kuropatwy, 1 gęś dziką, 123 kaczki i 68 sztuk ptactwa błotnego.

Państwo Brody ma pięć rewirów po pięć tysięcy morgów, nie licząc kilka lasów odrębnych po dwa tysiące morgów i po tysiąc.

W Leszniowskiej luce, od granicy Wołynia, ogromne szkody w sarnach robi piętnaście wilków, a tu takie śniegi, że nagonka iść nie może. Po pięć sarn co dnia biorą. Okropne to jest, a rady na to znaleść nie można. Kuropatwy, jeżeli kto nie wyłapał, to przepadną zupełnie. Okropny rok!

Marceli Tyszkiewicz.

Kosów d. 17. marca.

(Rysie w Kosowie.)

Dnia 12. marca b. r. tutejszy c. k. leśniczy p. Oskar Als, będąc w lesie, usłyszał krzyk sarny, a pobiegłszy za tym głosem, znalazł świeżo co zagryzioną sarnę i mimo nadgryzionych pośladków, jeszcze żywą, lecz rzekomy drapieżnik, niewidziany umknął; poznawszy zaraz, że to sprawka rysia, i że tenże, ze swojej zdobyczy spłoszony, powinienby do niej powrócić, zatruł tę sarnę strychniną, a drugiego dnia rzeczywiście dwa ogromne rysie znalazł. Od jesieni roku zeszłego wyrządziły w tutejszej okolicy rysie, tak w zwierzętach domowych, jako też i w łownych niepowetowane szkody. *M.*

(Ciekawa bardzo wiadomość doszła nas również o pojawieniu się kilkunastu rysiów w Spasie, w lasach należących do hr. Ludwika Wodzickiego. Tamtejsza służba leśna miała sprawdzić, że rysie pojawiły się jeszcze w połowie lata i robiły między zwierzyną łowną znaczne spustoszenia. Zające i sarny poczęły gromadnie ginąć. Dopóki jednak było lato i jesień, dopóty na obszarze lasów, wynoszącym 14 tysięcy morgów, niepodobna było tych szkodników wytropić. Udało się to słażbie lasowej dopiero wtedy, gdy śniegi spadły. Wzięto się energicznie pod kierunkiem dzielnego myśliwego, p. Ant. Cihlarza, dyrektora dóbr spaskich, do tępienia tych zwierząt, i w ciągu stycznia i lutego zabito dziewięć rysiów.

Mają to być przeważnie czy wyłącznie samce. Otrzymawszy wiadomość o tym niezwykłym połowie, udawaliśmy się do dyrekcyi dóbr spaskich z prośbą o podanie nam bliższych szczegółów tego dla myśliwych i przyrodników tak bardzo ciekawego wypadku, lecz dotąd, niestety, nie otrzymaliśmy jeszcze odpowiedzi. Z uwagi, iż zatrute w Kosowie dwie sztuki były samicami, mieliśmy tu prawdopodobnie do czynienia z cieczką rysiów, od wschodu ku zachodowi, przebiegających, jak wiadomo, częstokroć znaczne przestrzenie w czasie rui. *Przyp. Red.)*

Stryj d. 24. lutego.

(Niezwykły gość.)

Wyszedłszy rano koło 8. godziny dnia 17. lutego z mieszkania na podwórze, które tuż koło uczęszczanej ulicy w Stryju leży, spostrzegłem jakiegoś ptaka, który szybko z pod nóg się wymknąwszy, piechotą przy pomocy skrzydeł po śniegu umykał. Zaciekawiony jako myśliwy, co to być może, pobiegłem za nim i z wielkim trudem go złapałem. Przypatrzyłem mu się uważnie — lecz znajomość moja ornitologiczna nie wystarczyła — nie zdarzyło mi się bowiem widzieć podobnego ptaka. Wziąłem go do pokoju do klatki i dawałem mu jeść, co tylko miałem pod ręką, a więc chleb, mięso, jaja gotowane, zboże, a nawet małe rybki, które umyślnie kazałem złapać — nic jednakże jeść nie chciał, zato z wielką ochotą kąpał się i pluskał w wodzie na misce.

Trzymałem go nadal w klatce, lecz już po kilku dniach wymknął mi się z niej, aż w końcu, wcisnąwszy się pod kufer, tam się zadusił. Pakuję go więc do papieru i posyłam. Może szanowna Redakcya „Łowca“ zechce zdefiniować, co to za ptak i jakie losy zagnały go w środku zimy na podwórze mieszkalnego domu? *B. W.*

(Przysłany nam ptak okazał się Perkozem mniejszym *(Podiceps minor)*, który zdaje się w okolicy Stryja mniej jest pospolitym, niż Perkoz dwuczubny *(Podiceps cristatus)*. Prawdopodobnie zimował on wraz z kaczkami na jakimś okolicznym oparze i został gwałtownym wichrem wraz z śniegami aż na ulice Stryja zagnany. *Przyp. Red.)*

Papieluchy (na Podolu) d. 11. marca 1889.

(Stan zwierzyny. — Wilki.)

W tym roku daje się zauważyć znacznie zmniejszona ilość zajęcy. Nie wiadomo, czemu to przypisać, może ciężkiej przeszłej zimie, która przyczyniała się do ich zguby, a może i źle wpłynęła na ich płodność.

Co do sarn, przeciwnie, nadzwyczaj dużo było młodych, tak, że to zadziwiło leśnych, ale za to wilki robią w nich wielką szkodę, bo śnieg jest tak wysoki, że sarnę niemal

człowiek pieszo może sforsować. Wilków stałych wcale u nas nie było, lecz z tym śniegiem znęciły się z sąsiednich lasów i tak się przyzwyczaiły jeść sarninę, że co wieczór przychodzą i zdusiwszy jednę lub dwie sarny, rano się wynoszą. Niemożliwością jest na nie polować, z tej racyi, że nie zalegają u nas, a trutek nie chcą jeść, bo im łatwiej dusić sarny. Jednakże cztery sztuki już od trucizny padło, a spodziewam się, że gdy śnieg zejdzie, a sarny lepiej będą mogły uciekać, potruje się ich więcej. *Leśniczy.*

Z za kordonu w marcu.

(Wyprawa na wilki.)

Byłem w magazynie, mierzyłem proso okurzony, opajęczony i myślałem sobie o naszym gospodarskim zawodzie, co to całe życie przykuwa nas do młynka, do robotników i do worków — gdy wtem, wpada kozak z kartką z Pie..., treści krótkiej lecz węzłowatej: „Wilków trzy, zjadłszy zatrute ścierwo poszło i zaległo w oparzeliskach Mysackich. Przyjeżdżaj ze strzelbami, stanę przy moście St...ckim, postaw Machalnego.“

A więc wylatuję z magazynu, zaprzęgam konie, wpadam do żony, powiadam: „Żono... jadę na polowanie... dawaj wódki... S. przyjeżdża... wilki... prędko...“ Ledwo to wyrzekłem, już byłem w sankach z kieliszkiem starki w brzuchu i jakiemiś prowizyami w torbie, które czuła żona w ostatniej chwili mi włożyła, mówiąc: „mężu ostrożnie... nie przeziębi się... myśl o mnie... pamiętaj, że masz żonę... dzieci...“ Ostatnie słowa już zdaleka usłyszałem, wtedy, gdy konie kopnęły z kopyta, unosząc ze sobą trzech myśliwych, jeden lepszy od drugiego — Stepan, Abram i ja niegodny wasz sługa.

Przy moście czekało troje sanek z całą drużyną obmarzniętą. S. z olbrzymim kapturem na głowie siedział z zarządzającym, na drugich saniach opryszki rozmaite: Ambroś z siwym wąsem, stary ekonom S. B. i stolarz. Puszczamy się wszyscy gęsiego do Gliniszcz, za koleją do Kurynia, gdzie już cała drużyna stała złożona z kozaków i parobków.

„A szczo? je wouki?“ — „Je!“ — „A kilko?“ „Łeboń try zaliahły i ne wyjszły. Nechaj piszki pijdut mysływi, bo sani budut hurkotiły.“

Idziemy więc piechotą *á la queu* i niedaleko Kurynia zaczynamy stawać. S. idąc naprzód, pyta się kozaka, który wyśledził wilki: „A koho tut stawyty, czy witropuka, czy dobroho mysływoho?“ A kozak odpowiada: „Tut można stawyty pudłohona“, a wtedy obróciwszy się do zarządzającego: „Może pan tu stanie.“

Dalej znowu: „A koho tut postawyty, czy pukiniera, czy mysływoho?“ — „Tut proszu pana, można jakoho nebud' kardybidu postawyty“ — a wtedy: „może staniesz, panie B.“ Znowu dalej. „A tut koho, czy darmopuka?“ — „Oj ni, proszu pana, może pan graf tut sami stanut, a mołodszyj pan graf dalij.“

Tak nas porozstawiano i ledwośmy doszli, gdy usłyszeliśmy strzał z przeciwnej strony w nagonce, bo śnieg taki, że o obławie ani myśleć. Po strzale pierwszym, zaraz potem trzask... trzask... potem znowu babach... potem dalej puuu!...

Serce drżało, oddech się tamował, w piersiach zachrypało... nic nie wyszło

Po pół godzinie rzucam stanowisko i idę do S. „A co, powiadam?“ — a on: „Jest wilczyca, B. dobił, a T. zarządzający drugiego musiał zabić.“

Wtem przychodzi ktoś i mówi, szczo pan komysar kazau, szczo pidstrylanyi wouk łeżyt żywyj. Idziemy na miejsce... prawda... wilczysko ogromne leży pod dębem przestrzelony kulą. Otoczyliśmy go, ktoś go ruszył, on wstał, zaczął brnąć w śniegu, a ja wtedy do niego o 5 kroków bach śrótem — bach kulą i zabiłem — a co? ?.

Ustrzyki dolne d. 21. lutego 1889.

(Zgon myśliwego.)

Ubiegłej jesieni pożegnał się z życiem doczesnem Scieranka, długoletni gajowy w dobrach rządowych Berehy. Ścieranka słynął jako myśliwy, osobliwie jako tępiciel wilków, które wytrapiał i wabił znakomicie. Padł ofiarą swego zawodu. Nastawiwszy samołówkę „samopał“ na drapieżne zwierzęta, które znaczną szkodę robiły w zwierzostanie, obzierając takową, dziwnym trafem poruszył klapkę, a z nią i cyngiel samopału, który wypalił, trafiając go całym nabojem w nogę. Postrzał był śmiertelny. Po kilkumiesięcznej chorobie, mimo starań lekarzy w Sanoku i Przemyślu, rozstał się z tym światem. Oprócz wielu dzielnych myśliwskich czynów, Ścieranka r. 1886., wytropiwszy gniazdo wilczycy, strzałem ubił „waderę“, a 6 wilcząt żywcem zabrał.

J. W.

Sprawozdania łowieckie.

— W Niebyłowie, w lasach skarbowych, polował w dniach 18., 19. i 20. marca ks. Adam Sapieha na dziki w towarzystwie zaproszonych gości i kilku osób z miejscowej służby leśnej. Dowództwo polowania było przy osobie księcia, to też mimo śnieżnicy z góry a zasp u dołu, szły łowy z niezwykłą energią, a nagonka, która prawie zawsze jest obojętna i lubi narzekać, nietylko, że swój obowiązek pełniła, ale od czasu do czasu można było słyszeć mówiących między sobą chłopów: „Z takim ne żal polowaty, daj mu Hospod' Boh zdorowla.“

Polowano z psami i nagonką, która stanowiła ścianę odporną z dwóch stron miotu, aby dzików nie wypuścić, i by je psy wyforsować mogły na linię myśliwych, co się też po części udawało. Dziki, które nie chciały wyjść, padały od kordelasów w miocie. Miały też te łowy niezwykły swój urok myśliwski. Krzyk naganiaczy, gon psów, strzały, od czasu do czasu kwik i fukanie dzika, czasem skowyczenie ciętego psa — wszystko to składało się w obraz już dziś coraz rzadszy, na łowy, w jakich młodsze pokolenie nie będzie już może miało sposobności uczestniczyć i chyba z opowiadań coś o tem zasłyszy.

Wynikiem łowów było: 21 dzików; ks. A. Sapieha ubił samurę, hr. J. Zamojski *coudouble* 2 wycinki, hr. Żółtowski samurę i warchlaka, hr. Plater samurę, jednego warchlaka na tempo hr. Zamojski i Żółtowski, 2 sztuki leśny miejscowy, a 1 odyńca łowczy tamtejszy ks. A. Sapiehy, p. B. Descour, resztę wykłuto kordelasami. Jeśli się zważy tę masę śniegu i powietrze wcale nie sprzyjające, to zaprawdę, rezultat świetny.

— W Poturzycy, u hr. Włodzimierza Dieduszyckiego, polowano w dniach 4., 5., 6., 8. i 9. marca w 21 strzelb w rewirach: Poturzyce, Skomorochy, Radwańce i Poździmierz na dziki. Wzięto ośmnaście miotów i ubito 44 dzików, 2 rogacze i lisa. Z pomiędzy gości, którzy w polowaniu brali udział, ubił p. Hipolit Bohdan maciorę i 2 warchlaki,

Tadeusz hr. Dzieduszycki 3 maciory i warchlaka, Aleksander hr. Fredro maciorę i warchlaka, Stanisław hr. Gołuchowski wycinka i warchlaka, Tadeusz Kownacki wycinka, maciorę i 4 warchlaki, Wincenty Kruszewski 4 warchlaki, Andrzej ks. Lubomirski warchlaka, Stanisław Matkowski maciorę i 2 warchlaki, Stanisław hr. Plater wycinka, warchlaka i lisa, dr. Zygmunt Rygier warchlaka, Adam ks. Sapieha odyńca i 3 warchlaki, Leopold hr. Starzeński odyńca, maciorę i 2 warchlaki, Piotr hr. Szembek maciorę, Stefan hr. Szembek maciorę i 3 warchlaki, Stanisław Żółtowski 2 warchlaki, Stefan hr. Zamojski rogacza, Jan Urbański rogacza. Prócz tego pogonka zabiła 1 warchlaka.

— W dobrach ordynacyi Przeworskiej odbyły się w dniach 14., 15., 16. i 17. stycznia polowania li tylko w polach. W 9 do 11 strzelb ubito 450 zajęcy (z tych w jednym dniu 196) i 2 lisy. Rezultat ten ubitej zwierzyny, jak na nasze stosunki, można nazwać wcale pomyślnym, zwłaszcza gdy się zważy, że dawniej w ordynacyi nie dbano o zwierzynę i dopiero, gdy młody książę A. Lubomirski przed paru laty objął ordynacyę, jako wytrwały i zamiłowany myśliwy, nie szczędząc ani trudów, ani kosztów, doprowadził stosunkowo w krótkim czasie chów zwierzyny do takiego stanu

Dziennie brano po 4 mioty, 20 fornalek podwoziły nagonkę, a oficyaliści na koniach pilnowali, by nagonka szła równo. To też bardzo rzadko się zdarzyło, by jaki szarak zdrów umknął z miotu. Gospodarz sam zarządza polowaniem, sam układa plany i wydaje instrukcye, sam rozstawia myśliwych na stanowiskach, nie zapomni o nikim, aby go lepiej postawić, jeżeli w poprzedzającem miocie mniejsze miał spotkanie, sam zaś do swoich zajęcy nie strzela. Mogę śmiało powiedzieć, że to wzorowo prowadzone polowanie, a przedewszystkiem ta uprzejmość na każdym kroku gospodarza, pozostawią na zawsze w pamięci uczestników tego polowania jak najmilsze wspomnienia.

Dodać tutaj winienem, że ostatniego dnia byliśmy świadkami rzadkiego wypadku. Lis, zamknięty w miocie, ledwie nam się ukazał na widnokręgu, uderzył na flankę i pomimo, że chłopcy z chorągiewkami nacierali na niego, nie cofnął się ani razu, lecz przebił się i zniknął nam z oczów ku wielkiemu naszemu zmartwieniu. Był to widocznie stary wyga, wiadomo bowiem, że lis w kociołku pędzi nieustannie jak szalony na wszystkie strony, i dopiero gdy nie widzi ratunku, idzie na oślep. Zdarza się nawet, że lis tem nieustannem bieganiem tak się zmęczy, iż nie może iść dalej i przywaruje. Ja sam takiego przed paru laty nie dalej jak na 20 kroków zabiłem. *Del. Łańcucki.*

— W Nowosiółkach, należących do dóbr p. namiestnika hr. K. Badeniego, polowano w d. 17. i 18. lutego w siedm strzelb. Obecni byli hr. Roman Potocki, hr. Andrzej Potocki, hr. Ludwik Wodzicki, hr. Roman Michałowski, Seweryn Skrzyński i Zdzisław Skrzyński. Pierwszego dnia padło 29 rogaczy, drugiego dnia 6 rogaczy i 3 dziki. Stan sarn bardzo piękny.

— W Starych Brodach, własności pana Artura Sznela, w lesie dwustumorgowym, polowano d. 20. stycznia w dziesięć strzelb i ubito 1 rogacza, 25 zajęcy, 2 lisy i dwa jastrzębie. Pomimo trudności, jaką przedstawia bliskość miasta i mnogość kłusowników, łożą się tu niemałe starania celem utrzymania zwierzyny. *M. Tyszkiewicz.*

— W Uniżu, własności p. Władysława Przybysławskiego, polowano w dniach 8. i 9. marca w trzy trzelby i ubito 12 dzików. Z tych dwunastu sztuk było dwa odyńce; jeden, mimo nędznego stanu, ważył 127 klgr., drugi mniejszy, jedna locha i dziewięć warchlaków Ogółem padło w tej kniei bieżącej zimy dwadzieścia jeden dzików.

KRONIKA.



długoletni i wielce czynny członek Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego, zmarł dnia 26. marca po długiej i ciężkiej chorobie, przeżywszy lat 58. Zmarły odznaczał się niespożytą energią i pracowitością; na stanowiskach posła sejmowego, prezesa Izby handlowej, dyrektora Banku kredytowego, członka Rady m. Lwowa i we wielu stowarzyszeniach, oddał społeczeństwu niemałe usługi — a jako finansista, zajmował w kraju pierwszorzędne miejsce. Łowiectwo było najmilszą rozrywką zmarłego, choć pojmował je nietylko jako rozrywkę gorącego miłośnika przyrody, ale dbał o nie jako o ważną gałąź gospodarstwa narodowego i znał je też gruntownie. Szczery, serdeczny, czasem rubasznie prawdomowny, jak na prawdziwego myśliwego przystało, zyskiwał łatwo serca i przyjaźń innych. Nie znał też granic uczynności, gdzie z pomocą spieszyć wypadło, a wobec Ojczyzny, jej cierpień, walk i potrzeb okazywał się zawsze synem wiernym i ducha niepodległego. Żałobne tłumy, które postępowały za trumną śp. Simona, i głos wdzięczności włościanina z Balicz, majętności ziemskiej zmarłego, nad jego grobem, to najlepsze świadectwo miłości, jaką sobie umiał jednać. Cześć jego pamięci!

Wystawa łowiecko-rybacka w Kasselu zapowiada się bardzo świetnie. Cesarz Wilhelm II. zezwolił, ażeby także z zamków cesarskich wysłano na wystawę co cenniejsze przedmioty. Król saski dał również polecenie, ażeby najciekawsze okazy ze sławnego zbioru rogów w zamku myśliwskim Moritzburgu pod Dreznem do Kasselu zawieziono. Między innemi są tam rosochy o 66 końcach z jelenia, którego król pruski Frydryk I. w r. 1696. ubił w rewirze Fürstenwalde pod Berlinem.

Wystawa ma być dnia 6. czerwca b. r. otwartą i potrwa do dnia 1. września. Termin zamawiania miejsc upłynął z 15. lutego, a zgłoszone przedmioty mają być między 1. a 29. maja dostawione. Przez Zielone Świątki będzie otwartym osobny oddział psów myśliwskich, najrozmaitszych ras. Toż samo będę czynione próby rozmaitej broni myśliwskiej i pocisków wszelkiego gatunku.

Z lasów ks. Schwarzenberga. W rewirach ks. Schwarzenberga zabito w ubiegłym roku: 335 jeleni, 95 danieli, 2 gemzy, 1350 sarn, 200 dzików, 26.570 zajęcy polnych, 74 zajęcy alpejskich, 205 głuszców, 213 cietrzewi, 125 jarząbków i pardwi, 19.687 kuropatw, 1774 bażantów, 3.225 dzikich gęsi i kaczek, 109 słonek i 681 rozmaitego ptactwa wodnego i błotnego. Oprócz tego zabito 1 kota dzikiego, 255 lisów, 4 borsuki, 39 wyder, 1.453 tchórzy, kun i łasic, 1 orła, 2 sowy, 746 czapli i 22.470 szkodliwych łowiectwu ptaków. Wartość ubitej zwierzyny pożytecznej przedstawia przecięciowo, licząc po cenach umiarkowanych, sumę 67.000 zł.

Znakomicie strzela żona w. ks. rosyjskiego, Marya Pawłowna, z domu w. księżniczka Meklemburska. W czasie niedawnego pobytu

swego we Francyi, polując w jednem z rewirów myśliwskich hr. Potockiego pod Paryżem, ubiła sama w ciągu jednego dnia 110 bażantów.

Wilki pod Warszawą. W okolicy stacyi pomp, na Wiśle, ukazały się cztery wilki. Przyciągnęły one prawdopodobnie z lasów otwockich do żeru, którego sporo znaleźć mogły w śniegu i śmieciach wywożonych z Warszawy do Wisły. Dzień przepędzały wilki, w nadbrzeżnych wiklinach, w nocy zaś żerowały na lodzie. Dnia 16. marca spostrzeżono dwa wilki na krze lodowej w bliskości Saskiej Kępy. Zaskoczyli ich robotnicy, wyrębujący lód na Wiśle, i przy pomocy nadbiegłych kolonistów ubili jednego. Dnia 17. marca wybrało się kilku warszawskich myśliwych na spotkanie nieproszonych gości, wilki jednak, spłoszone poprzedniego dnia, wyniosły się, pozostawiając tylko świeże tropy na śniegu. Na kilka dni przedtem, w zaroślach pomiędzy Saską Kępą a Grochowem, widziano także błąkającego się wilka.

Są to wogóle wypadki w okolicach Warszawy bardzo rzadkie, od ostatniego bowiem znanego wypadku, gdy w pobliżu Warszawy, a mianowicie w okolicy Bielan, ubito wilka, minęło już lat szesnaście. Od tego czasu nie spotkali się Warszawiacy tuż pod miastem z tymi nieproszonymi gośćmi, i dopiero ten niezwykle śnieżny i obfitujący w wilki rok zwabił je aż pod Warszawę.

Wilki i kwas siarkowy. *Petersb. Listok* opowiada wypadek, który, jeśli nie jest anegdotką łowiecką, byłby bardzo niezwykłym. Oto w powiecie radomyskim pewien felczer został napadnięty przez wilka. Felczer nie posiadał żadnej broni, przypomniał sobie jednak, iż ma przy sobie butelkę z kwasem siarkowym; nie tracąc więc odwagi, odkorkował butelkę i gryzącym płynem bryznął w ślipie wilka, który oślepł zaraz, z czego korzystając, zabił go kłonicą i przywiózł jako zdobycz do wsi. Następnej nocy, w pobliżu mieszkania felczera, dało się słyszeć niezwykłe szczekanie psów. Jak się później okazało na dom ten napadło stado wilków, które, jakby mszcząc się za śmieć swego towarzysza, pożarły konia, tego właśnie, którym felczer jechał i przywiózł zabitego wilka.

Wilki we Francyi. Z końcem zeszłego roku ogłosiło francuskie ministerstwo rolnictwa daty statystyczne, tączące się premii, wypłaconych za ubite w r. 1887. wilki. W ogóle wytępiono w rzeczonym roku w całej Francyi 701 wilków, a między tymi dwa takie, które napadły były ludzi i za które premie wynosiły po 200 franków. Za 14 wader zapłodnionych zapłacono po 150 franków, za 315 starych basiorów po 100, a za 370 wilcząt po 40 franków. Cały wydatek na premie wynosił przeto 48.800 franków, podczas gdy w r. 1886. za 760 wilków wypłacił rząd 57.100 franków, a w r. 1885. za 900 wilków 65.500 franków. Najwięcej wilków zabijają w departamentach Dordogne, Charente, Vienne i Haute Vienne. Widać jednak z powyższych dat, że stan tych szkodliwych rabusiów, dzięki wysokim premiom, ciągle się zmniejsza.

Powrót psa. Znaną jest powszechnie zdolność psów w odszukiwaniu drogi, jeśli chcą wracać do domu i rodziny, do której się przywiązały. Nadzwyczajnej atoli rzeczy dokazał tej ziemi duży nowofundlandczyk, którego pewien restaurator w Berlinie sprzedał amatorowi psów do Gorlic Goerlitz w Łużycach nad Nisą). Jeden z przyjaciół restauratora odwiózł psa na miejsce koleją i oddał go nowonabywcy, ale już po dwugodzinnym pobycie u nowego pana, umknął pies z Gorlic i w cztery dni później, pomimo panujących pod tę porę zawiei śnieżnych, przebywszy trzydziestomilową odległość, schudzony i zbiedzony do niepoznania, wrócił do Berlina. Rozczulony restaurator, wstydząc się swej chciwości, zastawił psu królewską biesiadę i postanowił już się z nim nie rozłączać.

Niedźwiedź w odwiedzinach. Z Zalasdu, w komitacie tranjedzkim, na Węgrzech, donoszą o kilkudniowej śnieżycy, która w pierwszej połowie marca grubą warstwą śniegu osłoniwszy ziemię, wyparła z legowisk zwierzynę, napędzając ją pod progi mieszkań ludzkich. Między innemi włóczyć się jęły po okolicy niedźwiedzie, które kilka razy spotykał pod domostwem swojem nadleśniczy z Zalasdu, Derek. W dniu 15. marca wieczorem, gdy nadleśniczy wraz z rodziną zasiadł do kolacyi, otwierają się nagle drzwi i do izby włazi olbrzymich rozmiarów myś. Żona Dereka z przerażenia zemdlała, dzieci zaczęły krzyczeć, wobec czego nadleśniczy, nie tracąc przytomności, żonę i dzieci wyniósł do sąsiedniej izby, a zamknąwszy za niemi drzwi na klucz, sam zdążył jeszcze chwycić strzelbę i wyskoczyć na podwórko. Tymczasem niedźwiedź plądrował po mieszkaniu i próbował dostać się do zamkniętej izby; gdy mu się to jednak nie udało, zwrócił się do stołu, na którym zastawiona była kolacya i zabrał się do jedzenia. Następnie zajęła jego uwagę czworonożna, stojąca w kącie otwarta skrzynia. Zbliżył się do niej i zaczął wyrzucać z niej rzeczy, dobierając się do dna, gdzie znajdowała się kasa leśna Dereka. W obawie, aby niedźwiedź nie zniszczył papierowych pieniędzy, nadleśniczy przestał go obserwować, wziął na cel i położył na miejscu bez życia. Niebezpieczeństwo minęło, Derek uwolnił tedy z chwilowego więzienia żonę i dzieci i na współkę zabrano się do usunięcia nieproszonego gościa. Na podwórzu dobył nadleśny noża myśliwskiego i przystąpił do wypatroszenia nieżywego zwierza, jakiež jednak było jego zdziwienie, gdy w leżącym przed sobą niedźwiedziu poznał... leśnego, Jonza Dimitri, który pod niezwykłem przebraniem chciał widocznie okraść kasę.

Działanie elektryczności objawia się bardzo odmiennie na różnych zwierzętach. Próby w tym względzie czyniono niedawno w menażeryi Barnuma w Bridgeport w półn. Ameryce. Najwrażliwszym na prąd elektryczny jest ród koci, podczas gdy hipopotamy i lwy morskie pozwalały się całkiem bez wrażenia elektryzować. Małpy i wilki zaczynały skomleć, słoniom zaś sprawiało elektryzowanie nadzwyczajną przyjemność. Gdy zaaplikowano im prąd o 42 elementach, pocierały z rozkoszą nogę o nogę i z uciechy głaskały trąbami dozorców.

Olbrzymi szkielet przedpotopowego zwierzęcia z rodzaju leniwców, megateryum, znaleziono w okolicy Buenos-Ayres w Ameryce. Okaz to tem cenniejszy, że jest pierwszym, który posiada nienaruszoną w całości głowę, a ma ona długości 80 centymetrów, górna szczęka zaś ćwierć metra. Pierwszy szkielet magateryum odkryto przed laty stu właśnie w Brazylii, gdzie gubernatorem był wówczas markiz Lozetto, który oceniając ważność tego odkrycia, wysłał szwadron huzarów dla strzeżenia w dzień i w nocy odkopanego skarbu, dopókì go nie zabrano i do Madrytu nie przewieziono, gdzie się też w przechowaniu znajduje.

Zima w stepie. W Turkiestanie zima zmusiła koczujących Kirgizów opuścić stepy i szukać ratunku dla swych stad w okolicach osiedlonych i zagospodarowanych, mianowicie w dolinie achtubińskiej i innych. Stepy zmieniły się w podbiegunową pustynię, pokrytą szklistą, zmarzłą skorupą, której nietylko owce, ale i konie przebić nie mogły, by pod nią odszukać sobie pożywienia. Zapasy zimowe Kirgizów, gromadzone w bardzo niewielkich ilościach, wyczerpały się nader rychło, wygłodzone stada rozbiegły się niejednemu same, pędzone instynktem wyszukania sobie paszy, co jednak najczęściej bywało daremne i nieobliczonych strat stało się powodem. Dość przytoczyć naprzykład, że jednemu z zamożniejszych Kirgizów rozbiegło się z głodu 11.000 sztuk owiec, z których zaledwie 2.000 zdołano spędzić, a reszta pomarzła w stepie; innemu trzy tabuny koni, mimo usiłowań wartowników, popędziły gdzie oczy poniosły — i t. p. wypadków dziesiątki. Przezorniejsi, widząc na co się w stepach zanosi, posunęli się w zasobniejsze w paszę okolice i rolnikom tamtejszym oddawali tabuny po 800 koni i stada bydła po 1.000 sztuk na połowę za przezimowanie drugiej połowy, do wiosny.

O motylicy *(Distomatosis hepatica)*, która się i u sarn pojawia, pisze Anacker *(Spec Pathol. und Therapie)* co następuje: Zarodek *(cercaria)* motylicy dostaje się do organizmu zwierzęcego z wodą lub pożywieniem. Ulegają jej najwięcej owce i bydło pasione po wilgotnych pastwiskach — konie, kozy, mniej nierogacizna; wszystkie jednakże roślinożerne zwierzęta mogą się motylicą zarazić. Motylica potrzebuje do swego rozwoju mokrych pastwisk i stojącej wody. Do rodzajowego rozwoju dochodzi tylko w wątrobie zwierząt z krwią ciepłą, w których już z końcem jesieni lub z początkiem zimy przechodzi do pęcherza żółciowego i jelit cienkich. W przewodzie kiszkowym motylica ginie, i tylko jej jajeczka wychodzą z kałem na zewnątrz. W zetknięciu się z wodą, z jajeczek tych wykłówają się zarodniki, które, jako takie, za pomocą organów świdrowatych wwiercają się w ślimaczka wodnego, lub spożyte przez tegoż ślimaczka, przebijają trzewia, i zamieszkują w jego ciele. W przeciągu 3. do 4. tygodni, a w lecie już w dniach 14. wykształca się zarodnik motylicy na tak zwaną „*cercarię* ogoniastą“ która opuszcza ślimaka, i zaskorupia się w kształcie kulki małej, na roślinach wodnych lub nad wodą rosnących.

Leuckart uważał, że zarodniki motylicy tak zwykłej, jak i lancetowatej, zamieszkują najchętniej w ślimaku skorupiatym *(Limnaeus peregre* i *Limnaeus truncatulus)*, w których to znachodził po 50 zarodników motylicy. Małe te białe kabsułki dostają się przy pasieniu zarażonej niemi trawy, lub z wodą, do żołądka zwierząt, skąd, uwolniwszy się ze skorupki, przewodem żółciowym dostają się do wątroby.

Józef Krzysztofowicz.

Walka lamparta z panterą odbyła się niedawno temu w menażeryi Wombwella ku niesłychanemu przerażeniu widzów. Pogromca zwierząt Cooper na przedstawieniu wieczornem wpuścił trzy lamparty i trzy pantery do wielkiej klatki, którą otoczyła tłumnie publiczność. Nagle rozległ się straszliwy ryk; jedna pantera wskoczyła na grzbiet lamparta i zatopiła kły w jego szyi. Rozpoczęła się zacięta walka; zwierzęta tarzały się po klatce, brocząc we krwi wśród wycia i ryku reszty lampartów i panter. Publiczność cofnęła się przerażona, a Cooper opuścił klatkę i kazał przynieść rozpalone drągi żelazne dla rozpędzenia zwierząt; pantera wszakże nie puściła swej ofiary, dopóki pogromca nie wszedł napowrót do klatki i nie odpędził jej batem od nieżywego już lamparta. Gdy wyniesiono go z klatki, Cooper rozpoczął przedstawienie z pięcią pozostałemi zwierzętami, inaczej bowiem — jak twierdził — zatraciłyby wszelką tresurę.

Szczególny pojedynek stoczonym został niedawno temu w menażeryi Hagenbeka w Hamburgu. O godz. 5. rano doniesiono właścicielowi zakładu, że sprowadzony dniem poprzód olbrzymi kangur, samiec, wymknął się w niewytłumaczony bliżej sposób ze swej stajenki i wszedł do zagrody, gdzie się hipopotam znajduje. Hagenbek udał się natychmiast do rzeczonej zagrody z siecią w ręku, używaną do wyławiania aligatorów. Widok, który mu się tu przedstawił, był wielce komicznym. W basenie hipopotama, zanurzony do dwóch stóp, siedział kangur i bił przedniemi łapami zajadle w głowę hipopotama, który, otworzywszy olbrzymią paszczę, ryczał i chciał go pochwycić. Za każdym poruszeniem głowy naprzód, otrzymywał wodny olbrzym policzek od nowoholenderskiego gościa, którego ostre pazury wbijały się w mięsiste jego wargi, krwawiąc je znacznie. Z wielką biedą udało się w końcu zarzucić sieć na kangura i tym sposobem rozdzielić zajadłych zapaśników. Hipopotam nie ruszał się z miejsca, gdy kangura chwytano, lecz z ciekawością przypatrywał się całej tej operacyi.

Nieszczęśliwe kuropatwy. Długie mrozy, przeplatane odwilżami, dają się bardzo we znaki biednym kuropatwom. W porze takiej dziwi nas nieraz, jak się przerzedzają ich stadka, a nie możemy sobie wytłumaczyć, dlaczego właśnie wtedy stają się one łupem drapieżnego ptactwa. Warszawski *Wędrowiec* podaje rozwiązanie tej zagadki, zamieściwszy wedle zdjęć fotograficznych obraz kuropatwy, przydybanej w czasie mrozu po odwilżach. Ma ona u ogona wielką bryłę lodu, która jej ani latać, ani biegać nie pozwala. Biedny ptak, idąc za żerem na miejsca odtajałe, moczy pióra ogona. Do zmoczonych piór przylega następnie śnieg, tworząc nieraz dość znaczną bryłkę, a gdy następnie mróz pochwyci, staje się ona twardą, otrząść się nie da i uniemożliwia kuropatwie lot i wszelkie szybsze ruchy. Jastrzębie, kruki i lada wrony uderzają wówczas na nią bez trudności i zadzióbują. Bryłka lodu u ogona, którego podobiznę podał *Wędrowiec*, ważyła przeszło pół funta.

Z Warszawy donoszą o formalnej w tym roku klęsce głodowej, trapiącej kuropatwy. W skutek niezwykłej i ciągle wzrastającej śnieżycy, ptactwo całemi stadami przylatywało na podwórza włościan i kolonistów, szukając pokarmu. Kilku gospodarzy z pod Raszyna złowiło znaczną ilość ptactwa tego dla przezimowania, a następnie wypuszczenia na wolność.

Dzikie łabędzie. Z Krainy donoszą, że na tamtejszych, rzadko kiedy zamarzających i często w podziemiu niknących rzekach, uważano i tej zimy kilka stadek dzikich łabędzi. Na samem jeziorze Cyrknickiem, przedtem nim cała jego powierzchnia lodem się ścięła, pływały one na niezamarzniętej w pośrodku wodzie, lecz nie można się było do nich na odległość strzału dostać. Później widziano parę na Iszce, przepływającej przez moczary lublańskie, i na Ryfnicy. Tam ubił jednego łabędzia członek Rady państwa, Karol Klun i przesłał go w darze muzeum krajowemu w Lublanie.

Zimowla jaskółek. Poetyczne legendy ludowe twierdzą uporczywie, że jaskółki, chwyciwszy się łapkami, wiją się w wieniec, z nadejściem zimy zatapiają się w jeziorach, zimują pod lodem, i dopiero na wiosnę, gdy słońce martwą powłokę roztopi, wylatują wieńcem na świat wiosenny. Naturaliści nie chcą tych poetycznych poglądów akceptować, ale przecież, jak się pokazuje, zaczynają mieć do czynienia z uśpionemi na czas zimy jaskółkami. Sławny uczony francuski, Lerron, referował niedawno na jednem z posiedzeń paryskiego Towarzystwa przyrodników o śnie zimowym jaskółek, i pokazywał zgromadzonym uśpioną jaskółkę, którą sam w szczelinie muru znalazł. Oczywiście, iż wszystkie jaskółki europejskie nie przebywają w ten sposób zimy, gdyż żeglarze widzą całe ich chmury, lecące w jesieni przez morze Śródziemne do Afryki, Lerron dowiódł wszakże, że takie, które z rozmaitych powodów nie mogą z towarzyszkami podjąć uciążliwej wędrówki, mogą w stanie uspienia, ukrywszy się w zabezpieczonych od srogości mrozów szczelinach i jaskiniach, przebywać zimę także w Europie.

Kształt jaja i rodzaj pisklęcia, które się ma zeń wykłóć, stoją ze sobą zawsze w pewnym związku, tak, iż przy jakiej takiej wprawie można orzec na pewno, czy z jaja wyklóje się samiec czy samica. Takie jest zdanie francuskiego przyrodnika, p. Genies, który spostrzeżenia swe w tym względzie Akademii umiejętności w Paryżu zakomunikował. Twierdzi on, że jaja, z których wyklówają się samce, mają zawsze na węższym końcu skorupy drobne zmarszczki, podczas gdy jaja, mające w sobie zarodki samic, są na obu końcach należycie zaokrąglone i całkiem gładkie. Jeżeli to spostrzeżenie przyrodnika francuskiego w każdym wypadku jest prawdziwe, to daje ono do ręki bardzo ważną skazówkę nietylko gosposiom, sadzającym drób na jajach, a widzącym bardzo niechętnie, gdy im się za dużo kogutów, kaczorów, lub gęsiorów wylęga, ale także i myśliwym, którzy, kupując i dając do wysiadania jaja bażancie lub kuropatwie do na półdomowej chodowli tych ptaków, mogą te jaja w stosownej ilości samców do samic kombinować.

Wywóz raków z Galicyi na Zachód wzmaga się do tego stopnia, że jest obawa, iż i ten mieszkaniec błotnych naszych potoków i stawów zostanie zanadto tępionym. Do samego Krakowa — jak obliczają — przybywa w letnich miesiącach codziennie 40 do 50 korcy raków. Towar ten odchodzi ztamtąd wprost do Wiednia i stał się dla kolei takim przedmiotem transportu, iż dyrekcye ruchu kolei Karola Ludwika i Czerniowieckiej we Lwowie i Krakowie wzięły pod rozwagę sposób uskuteczniania tych przesyłek i przyspieszania ze względu na łatwość psucia się tego żywego towaru. Ponieważ mianowicie raki, przesyłane w koszach, wymagają szczególniejszej uwagi podczas przeładowywania i wyładowywania, oraz przy składaniu w kolejowych magazynach, przeto projektowanem jest wydanie specyalnych przepisów „dla należytego określenia postępowania manipulacyjnego“. Wedle danych statystycznych przewożono w latach ostatnich przez Kraków w przecięciu około 900.000 sztuk raków rocznie, a koleje spodziewają się, że przesyłki tego towaru będą się raczej zwiększały, niż zmniejszały.

Staje się to możliwem dlatego, że we wielu potokach innych prowincyj austryackich wyginęły raki w skutek jakiejś, bliżej jeszcze nie rozpoznanej epidemii raczej. Tak np. w potokach Lasu Wiedeńskiego, które dawniej w raki obfitowały, nie widziano już raka od dawna. Znajdowany tu i owdzie pomiot wydry, nie ma w sobie wcale szczątków skorupy raczej, jakto zazwyczaj bywało.

Uścisk polipa. W Wellingtonie, w nowej Zelandyi, otrzymał nurek polecenie, ażeby umocować kilka bloków tuż obok słupów mostowych pod wodą. Nurek, nazwiskiem Goran, spuścił się na dno morskie w kauczukowym skafandrze i został napadnięty przez głowonoga, który częścią nóg wpił się w grzbiet nurka, a częścią otoczył rusztowanie słupa. Goran czynił rozpaczliwe wysilenia, ażeby się od tego uścisku uwolnić, lecz im więcej się szarpał, tem silniej ciągnął go potwór morski w swe objęcia. Wreszcie dał nurek za wygranę, stanął cicho, i ujrzał z radością, że część nóg polipa odczepiła się od słupa i ku niemu się zwróciła. W tej chwili dał sygnał linewką i z polipem na grzbiecie został wyciągnięty. Kończyny tego morskiego potworu mierzyły po 9 stóp.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie